Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 2 października 1938 r. Nr 40



Pasterz z puszty węgierskiej w Bugac — bezkresnej równiny o dzikim krajobrazie, na której brzegach pasą się stada owiec, a w głębi tabuny koni.

Prawie dzikimi rumakami władają „cikosi", odznaczający się malowniczymi, suto haftowanymi w regionalny deseń — płaszczami. Płaszcze te szerokie, fałdziste i długie narzucają na krótkie kożuszki, w lecie odwrócone włosem do góry.

ADAM CZEKALSKI

3)

Hollywood

POWIEŚĆ

Kaja porwała się prawie wściekła z tapczana.

— Na Boga! Czyż ten pan nie zdaje sobie sprawy, że jestem do ostateczności wyczerpana! — zawołała wzburzona.

Lekki uśmiech przemknął przez usta miss Bateau.

— Jeżeli pani nie życzy sobie widzieć mister Quince'a, oświadczę mu to — odrzekła ex-gwiazda spokojnie.

Kaja przyłożyła obie dłonie do rozpalonego czoła i poczuła naraz jakby zawrót głowy. Miss Bateau czekała cierpliwie przy drzwiach. Wreszcie Kaja podniosła znowu twarz i prawie jęknęła:

— Ha, niech się dzieje wola Boża, niech wejdzie.

Po chwili do pokoju wtoczył się maleńki, pucołowaty i w rzeczy samej całą swoją budową pigwę przypominający człowieczek. Był to mister Quince, szef reklamy wytwórni, człowiek bardzo znany, w którego rękach leżały losy prawie wszystkich dotychczasowych gwiazd „Blackbee-Filmu". Małego wzrostu, gruby mister Quince tym głównie zwracał na siebie uwagę, że miał głowę wydłużoną i piskliwy, jakby dziecinny głos.

— Hallo, miss de Rieth! — zawołał Quince swoim dyszkantem, uśmiechając się beztrosko całą szerokością swoich ust i idąc do Kai z wyciągniętymi w przód rękami. — Dzień dobry, dzień dobry, jak się czujemy?

— Powiem panu prosto i otwarcie, że nieszczególnie. Jestem prawie chora.

— O, dla Boga! To niedobrze. Pani zdrowie jest przede wszystkim zdrowiem wytwórni i musimy wszyscy o nie dbać. Zaraz tu będę musiał przysłać Lanstowna, aby pani coś przepisał.

Kaja przestraszyła się takiego obrotu rzeczy. Cóż jej z tego, że w taki sposób pozbędzie się tego pigwiastego Quince'a, skoro na jego miejsce przyjdzie drugi nudziarz, Lanstown i będzie wiercił jej dziurę w brzuchu swoimi medycznymi radami i zaleceniami.

— Ależ nie, nie — zaprotestowała żywo — jestem wprawdzie osłabiona, ale nie do tego stopnia, ażeby zaraz wołać mister Lanstowna.

— On jednak może coś poradzić na pani dolegliwość.

— Chwilowo jest to zupełnie zbędne.

— Zatem może pani ze mną porozmawiać czas jakiś?

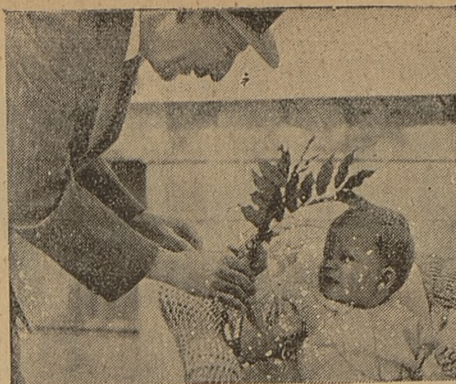
Kaja wskazała Quince'owi niemym gestem miejsce i sama opuściła się ciężko na tapczan.

— Proszę, mów pan.

— A zatem, madame: ustalamy z miejsca pani nazwisko. Czy ma pani jaki wybrany już pseudonim.

— Nie, nigdy o tym jeszcze nie myślałam.

— To dobrze. Zazwyczaj bowiem tak się dzieje, że przyszłe „star", zanim jeszcze ruszyły ze startu, kombinują sobie pseudonimy, nazwiska filmowe i taka sobie



Malutki Książę, Symeon bułgarski, już teraz zdradza swe dążności pokojowe, przyjmując z rąk swego ojca, króla Borysa, gałązkę pokoju.

przeciętna panna Kasia Polędwica wybiera najbardziej szumne nazwiska, chyba po to jedynie, aby w pierwszym filmie padła i nie podniosła się więcej. U pani rzecz ma się odwrotnie i dlatego się cieszę. Ale idźmy dalej: jakie jest życzenie pani w tym względzie?

Kaja wzruszyła ramionami.

— Prawdę rzekłszy, nie mam żadnych życzeń.

— Świetnie, madame, kolosalnie, madame! Czy zatem pozwoli pani, iż ja zajmę się wybraniem pani nazwiska scenicznego?

Kai było to w zasadzie obojętne, ale skoro temu grubasowi sprawia to przyjemność, niechże sobie łamie głowę nad jej nazwiskiem filmowym.

— Dobrze, zgadzam się na to — odrzekła spokojnie.

— Wspaniale, madame, wspaniale! Proszę zatem słuchać: nie była to sprawa łatwa, owo wybranie z setki pomysłów, jakie mi się rodziły nieustannie w głowie, wybrać jeden pomysł dobry. Ale ja już nie takie trudności pokonywałem, więc i ten orzech rozgryzłem, jak myślę, ku zadowoleniu pani, wytwórni i publiczności.

Kaja zainteresowała się teraz żywo, ciekawa, jakie też nazwisko będzie nosiła od dzisiaj, może nawet już za godzinę. A mister Quince, wtuliwszy długą głowę w ramiona, skutkiem czego jego czub wydał się jeszcze dłuższym, uderzył się pulchniutkimi rękami po kolanach i trzepał dalej:

— Żyjemy wprawdzie w wieku dwudziestym, gdzie już, jak się zdaje, wszystko niemożliwe stało się możliwym; kiedy stare rody i tytuły dawne nikomu nie imponują. Tak jednak nie jest. Świat amerykański, a ten świat ja znam doskonale, zawsze zostaje zahipnotyzowany starością rodu, tytułem europejskim, patyną starości pokrytym. Wprawdzie dzisiaj wszystkie europejskie tytuły kupić można za większą lub mniejszą sumę, niemniej jednak te tytuły ciągną tłumy i przyciągają dolary do kas kinematografów. Dlatego, łaskawa pani, wybrałem dla pani dobre nazwisko, nazywając ją po prostu jej własnym imieniem i nazwiskiem panieńskim, z nieodzownym dodatkiem „de". I tak więc będzie się pani nazywała: Kaja de Rieth!

Quince powiódł wzrokiem triumfalnie dokoła, jakby się spodziewał nadzwyczajnego uznania, ale Kaja tylko skrzywiła się zawiedziona. Spodziewała się zgoła czego innego.

— I pani się nie cieszy, miss de Rieth? Pani się nie cieszy?

— Ależ tak, tak, cieszę się, cieszę... Wprawdzie spodziewałam się innego nazwiska, lecz skoro pan orzekł, iż takie będzie dobre, niechże więc będzie. Wolę nosić własne nazwisko, niż cudze, przyszywane.

— Słusznie! O, madame, słusznie! Lecz proszę wysłuchać mnie do końca. Na tym myśl moja się nie kończy, bo gdyby tak było, moja głowa nie warta byłaby jednej zgniłej pigwy, odpowiednika mojego nazwiska. Proszę posłuchać: wybierając to nazwisko, nie poprzestałem na nim samym, ale musiałem także dokomponować i genealogię jak najbardziej uderzającą w oczy czytającą gazety publiczkę. Pani rodowód, przeze mnie napisany, jest taki, że jeśli wszyscy ludzie w Stanach nie zostaną olśnieni jego barwnością, pozwolę się nazwać ostatnim łpem, nie wartym 5 dolarów tygodniowego zarobku.

— Ciekawa jestem, mister Quince, jak ten rodowód się przedstawia?

— O, na razie to tajemnica. Proszę uzbroić się w cierpliwość i czekać. Kiedy pierwsze wzmianki o pani zaczną się ukazywać, otrzyma pani swoją porcję wycinków prasowych i zapozna się z moim geniuszem. Zaznaczam, że moja głowa nie na próżno tyle czasu pracowała nad tym wszystkim. Od jutra rozpoczynamy kampanię i pochlebiam sobie, że nie minie wiele czasu, a nazwisko pani zajaśnieje na wszystkich rogach ulic miast Stanów wszystkimi barwami świateł neonowych.

— Z góry się cieszę na tę sławę, mister Quince.

— I będzie pani miała z czego się cieszyć, zapewniam. No, ale zanim dojdziemy do mety, wiele jeszcze wody musi upłynąć. Na razie musi pani i powinna z ochotą bardzo dużo pracować. Przede wszystkim nie opuszczać seansów u mister Growe'a, bo to bardzo ważne. Potem zajmie się pani już od jutra nauką języka angielskiego. W tym celu przybędzie tu dwóch nauczycieli. Wreszcie, będzie miała pani codzienne wizyty mister Lanstowna w kwestii odżywiania się. Bez jego aprobaty nie wolno pani nic takiego jeść, co mogłoby popsuć jej figurę. Smukłość, smukłość za wszelką cenę, oto nakaz pierwszej wagi przy układaniu codziennego menu! Wreszcie: nie zdradzać się z niczym i przed nikim. Nie plotkować na żaden temat z innymi gwiazdami naszymi i konkurencyjnymi.

— Ależ ja tu tak nikogo nie znam! — zawołała Kaja.

— Ale pani pozna. Nie możemy chować pani pod korcem. Powinna pani wynająć względnie kupić sobie bez zwłoki willę i urządzić ją. W tym celu dość będzie, gdy podpisze pani plenipotencję naszemu stałemu przedstawicielowi, mister Might'owi. On się tym zajmie i polecenie w terminie wykona. Potem, gdy już pani zamieszka u siebie, trzeba będzie wydać „party" i zaprosić co najwybitniejszych ludzi w Hollywood, a przede wszystkim wszystkie „star" i wszystkich „gwiazdorów". Tymi sprawami zajmie się także mister Might. Ten człowiek jest jedyny do załatwiania podobnych spraw. Oczywiście, będzie bardzo dobrze, jeżeli pani powierzy panu Might'owi prowadzenie wszelkich swoich spraw pieniężnych. Wytwórnia postawiła

warunek w kontrakcie, że pani nie uczyni niczego, co mogło by narazić wytwórnię lub panią na jaki bądź wydatek zbędny. Przypominam to dlatego, bo jednocześnie pozwolę sobie poradzić pani, aby wszelkie zakupy i wszelkie wydatki, jakie pani porobi, kontrolowane były przez wydział finansowy „Blackbee-Film".

Kaja zdziwiła się nieprzyjemnie.

— Jakto, więc mnie nie będzie wolno wydać nic z moich własnych pieniędzy bez wiedzy wytwórni?

— Pshaw! Ależ nic podobnego. Ale dla pani i dla nas będzie lepiej, jeżeli sprawy finansowe będzie prowadził człowiek, który administruje pieniędzmi dziesiątek gwiazd rozmaitych wytwórni, który ma doświadczenie w tym względzie i wie jak i gdzie i w jaki sposób można wystąpić. To uwolni nas na przyszłość od wszelkich niespodzianek.

Kaja prawie jęknęła boleśnie. Sprawdzało się to, o czym mówiła jej miss Bateau tak niedawno. Ha, ale cóż było robić. Uciekać stąd? Zerwać kontrakt i pierwszym pociągiem odjechać do Nowego Jorku, a stamtąd do Europy? Byłaby to sromotna ucieczka z pola chwały, które jest dopiero przed nią. Nie, Kaja nie mogła tego uczynić. Poza tym, przyszło jej równocześnie na myśl, że przecież wytwórnia „Blackbee-Film" ma o wiele więcej doświadczenia i znajomości rzeczy od niej, łatwiej jej tedy przychodzi kierować się w tym labiryncie najprzeróżniejszych interesów gwiazdy filmowej.

— Madame — odezwał się znowu mister Quince — proszę nie zapominać, że to wszystko, co dzieje się dokoła pani teraz, to zaledwie kroki wstępne, przygotowanie do boju. I pani musi działać z nami ręka w rękę, aby ten bój o sławę wygrać i zarabiać już za pół roku czy rok, nie marne 10 tysięcy miesięcznie, ale co najmniej 200 tysięcy. A proszę mi wierzyć, że im sława pani będzie głośniejszą, tym większe sumy dolarów figurować będą na jej rachunku bankowym.

— Bien, monsieur Quince — odrzekła Kaja po francusku, uśmiechając się do tej perspektywy, jaką ukazał jej oczom ten grubasek.

— Bien — powtórzył Quince .— No, uciekam już. Proszę wypocząć należycie, bo za godzinę przybędzie mister Lanstown, a po nim panowie nauczyciele języka angielskiego. Proszę robić wszystko, abyśmy za dwa miesiące mogli już rozpocząć kręcenie pierwszego filmu z panią, filmu, który powinien przynieść sławę pani i zyski materialne wytwórni.

— Postaram się.

— No, to good bye, lady.

— Au revoir, monsieur Quince.

V.

BALLYHOO

Dotychczas nikt w ogóle nie interesował się tym, czy Kaja de Rieth posiada poza urodą ciała, jakikolwiek talent sceniczny lub nie. Sprawa ta zdawała się być tak dalece obcą wszystkim osobom, które działały za nią i w jej imieniu, że Kaja chwilami miała zupełnie słuszną obawę, czy nie padnie w pierwszym filmie, aby się nie podnieść więcej. Sama ona nie grywała nigdy w swoim życiu na żadnej scenie, nie była ani razu i przez nikogo egzaminowana, nie wiedziała więc sama, czy posiada choćby tylko szczyptę, talentu lub nie. Ale skoro nikt w wytwórni tym się nie interesował, uznała też i ona z czasem za rzecz naturalną takie postępowanie i nie przejmowała się tym więcej.

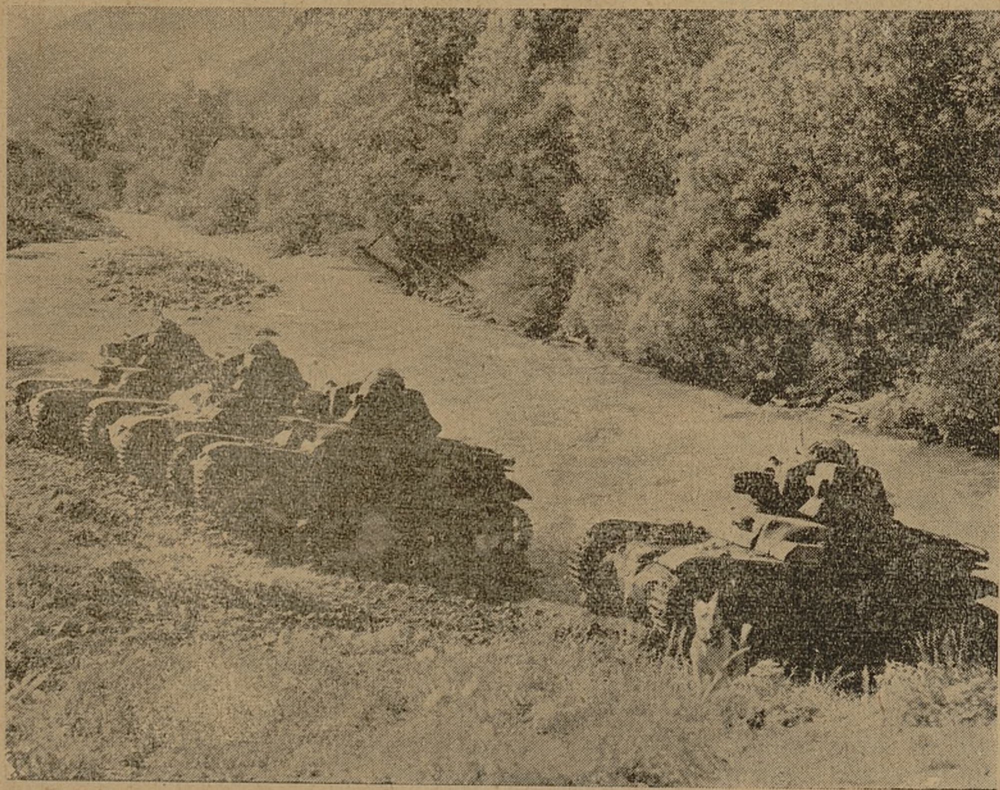
Oddana „na wychowanie", uczyła się języka angielskiego dzień w dzień po dwie godziny, poza tym zaś wszyscy inni, którzy się z nią stykali, zwykle przemawiali do niej po angielsku, aby ją przyzwyczaić do tego języka. Przy tym nauczyciele jej dbali wielce o to, aby miss de Rieth, jako cudzoziemka nie zatraciła lekkiego cudzoziemskiego akcentu. Taki akcent ma swoisty urok dla żądnej nowości publiczności amerykańskiej.

A równocześnie z tym działał wydział propagandy „Blackbee-Filmu". Sztab fotografów również upomniał się niebawem o swoje prawo i oto nareszcie, poraz pierwszy na nowym terenie, Kaja stanęła przed dziesiątkami kamer fotograficznych.

I to było bodajże najprzykrzejsze. Całymi dniami miss de Rieth musiała przesiadywać w ateliers fotograficznym, pozując do tysięcy zdjęć w najrozmaitszych pozach. Naturalnie, zanim znalazła się tam, mistrz „make up" musiał upozować jej twarz na taki sposób, w jaki pozować ją miał zawsze w przyszłości, to znaczy musiał „zrobić" jej twarz filmową.

Później zaczęły pokazywać się jej podobizny w najrozmaitszych pismach całych Stanów Zjednoczonych. Wydział propagandy, rozsyłając fotografie swojej nowej „gwiazdy" do najprzeróżniejszych wydawnictw, załączał zarazem i czek na znaczną sumę i skutek był zawsze wprost cudowny. Owe czeki były magicznym kluczem, który otwierał upusty najwymyślniejszych pochwał na cześć miss Kai de Rieth. Nie było pisma, które Kai wpadło w rękę, aby w nim nie znalazła swojej podobizny i kilkudziesięciu wierszy najwymyślniejszych nieprawdopodobieństw, wypisanych o niej. Z początku bawiło ją to i nawet cieszyło, później jednak zaczynało być uprzykrzone. Ale wypadek, który zdarzył się pewnego dnia, wytrącił ją po prostu z równowagi.

Jak codziennie, pewnego ranka pokojowa przyniosła jej wraz z śniadaniem plik czasopism ilustrowanych i dzienników z pozakreślanymi czerwonym ołówkiem artykułami. Kaja wzięła pierwsze z brzegu czasopismo francuskie, jako że język ten był jej językiem macierzystym i najlepiej go rozumiała, i zaledwie rzuciła okiem na pierwsze wiersze zakreślonego artykułu, rumieniec wstydu oblał jej twarz. To było potworne! Po chwili otrząsnęła się jednak i zaczęła czytać uważnie. I oto, co wyczytała:



Ciężkie czołgi podczas manewrów armii francuskiej z łatwością pokonują przeszkody w postaci potoku górskiego.



Min. Walters z małżonką, dotychczasowy poseł i minister pełnomocny Łotwy w Warszawie, ustąpił ze swego stanowiska.

— „Nowa gwiazda wytwórni filmowej „Blackbee-Film", importowana ostatnio z Europy, to nabytek taki, jakiego jeszcze w żadnym studio Hollywood nie było. Obok wysokiej klasy urody, która zaćmiewa wszystkie gwiazdy w Hollywood, miss Kaja de Rieth ma za sobą również i życie bardzo urozmaicone. Jest to najautentyczniejsza córka nieślubna maharadży Radżputanu, który ją nawet do chrztu trzymał. Maharadża, jeden z najbogatszych ludzi świata, w dniu chrztu podarował miss Kai wspaniały wisiorek na szyję, wielki, czystej wody szmaragd otoczony brylantami i rubinami wartości kilku milionów dolarów. Dając małej Kai ten klejnot, maharadża oświadczył, że związana jest z nim tajemnica rodu maharadżów z Radżputanu i kto nosi ten szmaragd stale na szyi, ten nigdy nie choruje i bardzo długo żyje. Gdy go zaś przestaje nosić, zaraz umiera. Jak dotąd, przepowiednia maharadży w zupełności się sprawdza, gdyż nowa gwiazda „Blackbee-Filmu" nigdy w swoim życiu nie chorowała nawet na tak zwykły i pospolity w okresie zimy i jesieni katar".

Kaja przeczytała to jednym tchem, potem przerzuciła jeszcze kilkanaście innych czasopism angielskich i różnojęzycznych i porwała się gniewna z miejsca, dzwoniąc uporczywie na pokojową.

— Słucham panią, miss de Rieth — zjawiła się pokojowa.

— Proszę wezwać natychmiast do mnie mister Quince'a.

— Słucham, miss de Rieth.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Kaja patrzyła moment na pokojową, a potem zaczęła biegać nerwowo po swoim pokoju, zapomniawszy zupełnie o śniadaniu. Była niesłychanie wzburzona. To, co ten mister Pigwa wymyślił, nie tylko nie przynosiło jej najmniejszego zaszczytu, ale kompromitowało w najwyższym stopniu zarówno ją samą, jak i matkę, dla której miała zawsze najwyższy szacunek. Co sobie teraz pomyślą o niej tam, w domu, co sobie pomyśli Roger, kiedy ta „bujda na resorach" dojdzie do nich? Będą przekonani, boć nie znają zgoła tutejszych stosunków, że Kaja pozbyła się już wszelkiego wstydu i wszystko rzuciła na jedną kartę, wszelki honor, wszelką ambicję i cześć. Nie, tego ona tak zostawić nie może.

Biegając, zerkała nieustannie ku drzwiom, oczekując zjawienia się mister Quince. Ale ten długi czas nie zjawiał się. Wreszcie przecież zapukano lekko do drzwi, a Kaja rzuciła prawie gniewnie: „entrez"!

Wszedł mister Quince, szef biura propagandy firmy „Blackbee-Film".

— Do usług, madame de Rieth — zgiął się w komicznym ukłonie i uśmiechnął boleśnie. — Czy pani czytała ten znakomity kąsek, jaki o pani napisano w dzisiejszych pismach? O żadnej „star" nie napisano czegoś podobnego dotąd. Dlatego, jak mi doniesiono, zainteresowanie jest ogromne. Redakcje zarzucane są pytaniami ze strony czytelników o panią, ja sam ledwie mogę nadążyć odpowiedziom na telefoniczne zapytania.

Kaja słuchała tych patetycznych i cynicznych słów pana Pigwy ze zmarszczoną brwią i utajonym gniewem w duszy. Długi czas nie odpowiadała, mierząc szefa propagandy zimnym spojrzeniem. Wreszcie odezwała się.

— Jak pan śmiał napisać podobne bzdury!? Co pan sobie wyobraża właściwie? Czy panu się zdaje, że ja, podpisując kontrakt z pańską firmą, wyzbyłam się przez to również wszelkiej czci i wszelkiego honoru? Wypraszam sobie raz na zawsze podobnego traktowania mnie! To jest bezczelność!

Zielone oczy Kai rzucały teraz złowrogie błyski, a nozdrza falowały tak gwałtownie, jak chyba nigdy dotąd.

Mister Quince, który w pierwszej chwili był pewien, że spotka go podziękowanie i ładny uśmiech, otworzył teraz szeroko usta i zaniemówił, jakby wody do gęby nabrał. Po chwili dopiero wyjąkał:

— Miss... miss de Rieth... nie pojmuję... zupełnie nie pojmuję.

— Czego pan nie pojmuje? Czy tego, że palnął pan głupstwo i oczernił mnie? Nie jestem córką żadnego maharadży, pojmuje pan? Jeszcze dzisiaj zadzwonię do wszystkich redakcji na pański koszt i zaprzeczę podobnym oszczerstwom stanowczo. A pana, mój panie Quince — tu oczy Kai znowu zamigotały wściekłym błyskiem — pociągnę do odpowiedzialności za oszczerstwo rzucone zarówno na mnie, jak i na moją matkę. I wreszcie oświadczam panu, że jeżeli powtórzy się jeszcze raz coś podobnego, zrywam kontrakt i natychmiast wracam do Europy.

Pan Quince otrząsnął się wreszcie z wrażenia, wyprostował się dumnie, uśmiechnął wzgardliwie i odrzekł spokojnie, choć nie bez ustajonej złośliwości w głosie:

— Madame, pani tego nie zrobi.

— Właśnie ,że zrobię.

— A ja powtarzam, że pani tego nie zrobi.

— Czemuż to?

— Bo żadna redakcja nie wydrukuje pani sprostowania.

— Znajdę w takim razie sprawiedliwość w sądzie.

Quince wzruszył ramionami.

— Pozwalam sobie wątpić w to mocno.

Gniew Kai wzrastał z chwili na chwilę i wydawać się mogło, że jeśli ten pan Pigwa zachowa nadal podobny ton drwiący, ona rzuci się na niego i rozszarpie go własnymi rękami. Opanowała się jednak z wielkim wysiłkiem i spytała znowu swym złowrogiem głosem:

— Panie Quince, posłuchaj mnie pan uważnie: oświadczam panu na tym miejscu, że jeśli do dni trzech nie odwoła pan tych oszczerstw, palnę panu w łeb i w ten sposób przynajmniej uzyskam część satysfakcji za oszczerstwo, jakiego pan się dopuścił. Jest to ostatnie moje słowo, jakie do pana mówię. A teraz wynoś się pan stąd i zostaw mnie samą.

Siła przekonania, brzmiąca w głosie Kai, była tak wielką, że mister Quince, wzruszywszy tylko ramionami, wycofał się pospiesznie z pokoju. A Kaja, załatwiwszy w tak nieoczekiwany, nawet dla siebie samej, sposób całą sprawę, zadzwoniła na pokojową i, nie tknąwszy śniadania, ubrała się i pospiesznie opuściła mieszkanie, nie mówiąc nikomu, dokąd się udaje. Ale też, prawdę rzekłszy, sama ona tego nie wiedziała.

Dopiero kiedy znalazła się w mieście, przyszedł jej na myśl mister Tom Decay. Postanowiła do niego zatelefonować. Na szczęście doktor znajdował się w biurach firmy „J. B. Bellowing" i w pół godziny później znalazł się w małej kawiarence, dokąd umówiła go Kaja.

— Co się stało? — zapytał spokojnie Decay, przywitawszy aktorkę i przyglądnąwszy jej się uważnie. Spostrzegam, że jest pani ogromnie wzburzona.

Kaja wstała.

— Przejdźmy się, doktorze, pragnę z panem porozmawiać o tej właśnie sprawie, która wywołała takie wzburzenie we mnie.

Tom posłuchał natychmiast. Wyszli na ulicę. Tutaj wsiedli do taxi i pojechali do parku. Po drodze Kaja opowiedziała doktorowi dzisiejszą przygodę, która ją tak ogromnie wzburzyła i w końcu poprosiła o radę. Mister Tom był wyraźnie zmartwiony. Nie odpowiedział jednak nic, namyślając się. Nie znał wprawdzie tej kobiety na tyle, aby móc o niej wydać sąd niechybny, ale jako wnikliwy psycholog

zrozumiał, że jest ona gotowa uczynić to, co zapowiedziała mr. Quince.

Kiedy wysiadali, Tom spostrzegł obok piękną niewiastę i uchylił kapelusza. Kobieta odpowiedziała na ukłon uśmiechem i pokiwała ręką. Doktorowi przyszła naraz jakaś nowa idea do głowy.

— Madame — odezwał się do Kaji — czy pani pozwoli, że ją poznam z moją serdeczną przyjaciółką, miss Cecile Hulse Matschat?

— Chętnie — odrzekła bez namysłu Kaja.

Mister Decay podszedł do nieznajomej, przywitał się z nią i po chwili przedstawił obie panie.

— Mam nadzieję — odezwał się doktor — że będziecie panie w równej mierze zadowolone z tej nowej znajomości. Jesteście niewiastami jednego typu i potraficie zdecydowanie bronić swoich zasad, nawet z bronią w ręku.

— Mój doktorze — odrzekła na to miss Cecile — człowiek bez zasad, to jak liść samotny oderwany od drzewa i miotany wiatrem. Taki człowiek niczego w życiu swoim nie zdobędzie i do niczego wielkiego nie dojdzie.

— Ma pani całkowitą słuszność — poparła ją Kaja.

— Są jednakże w życiu naszym sprawy takie, zwłaszcza na tutejszym gruncie — zauważył znowu doktor — które traktować należy dość pobłażliwie. Amerykanie, to nieraz tylko duże dzieci, których byle co potrafi wprowadzić w radość i zadowolenie.

— Być może, mister Decay, ale pod warunkiem, że to sprowadzanie radości nie odbywa się niczyim kosztem, kosztem niczyjej dobrej sławy.

Doktor uśmiechnął się tylko i powtórzył miss Cecile to, co opowiedziała mu Kaja o swoim dzisiejszym przejściu z mister Quince.

Miss Cecile również uśmiechnęła się i spojrzała prawie ciepło na Kaję. Po chwili zaś rzekła:

— Nie trzeba takimi sprawami przejmować się zbytnio. Reklama w Ameryce przerasta wszystko, cokolwiek ludzie w dalekiej Europie wyobrazić sobie tylko mogą. Naturalnie, jest to śmieszne i często bardzo niesmaczne, ale bez takiej reklamy, jaka tu istnieje, jaka opanowała całe życie nasze, żaden Amerykanin nic nie kupi. W tym kraju wychodzą dzienniki, których wydania świąteczne obejmują do 25 stron i które w 50 proc. zawierają same ogłoszenia. Taki niedzielny numer wielkiego dziennika amerykańskiego zawiera przeszło 10 tysięcy ogłoszeń. Ulice i drogi w pobliżu wielkich miast amerykańskich, jak to już pewnie sama pani zdążyła zaobserwować, są w takiej ilości obstawione tablicami reklamowymi, iż zakrywają całkowicie krajobraz. Prawie całkowicie celom reklamy służy 560 amerykańskich rozgłośni radiowych, których audycje w 90 procentach oparte są na ogłoszeniach. Radiostacje w tym kraju bowiem są przedsiębiorstwami prywatnymi, które zyski ciągną z reklamy.

— Reklama na każdym kroku, reklama, która towarzyszy nam przez 24 godziny, ścigając nas nawet we snach — to jeden z najcharakterystyczniejszych przejawów tutejszego życia. Wobec takiego stanu rzeczy wytworzyła się sytuacja, w której reklama musi posługiwać się najdrastyczniejszymi środkami, aby w ogóle być słyszaną i dostrzeżoną.

— Ależ w takich warunkach można po prostu oszaleć! — zawołała Kaja.

— Niekoniecznie — uśmiechnął się doktor. — Widzi pani przecież, że my oboje z miss Cecile, jako rodowici Amerykanie, których taka reklama ściga na każdym kroku dniem i nocą, jakoś trwamy, wytrzymujemy bombardowanie i mamy dosyć zdrowe zmysły. Poza tym, ostatnimi czasy zaczynają tutejsi ludzie zwalczać ten przerost reklamowy. Bronimy się przed taką super-reklamą z humorem, na swój sposób zwalczając natręctwo fabryk pasty do zębów, samochodów, papierosów i nazywamy ją może dziwaczną trochę nazwą — „ballyhoo..."

— „Ballyhoo"? Cóż to oznacza?

— Dzisiaj nikt już nie wie, w jaki sposób ten wyraz powstał i co on w rzeczy samej oznacza. „Ballyhoo", to po prostu te wszystkie obietnice, których żaden człowiek nie może spełnić, „ballyhoo", to super-reklama, która za wszelką cenę pragnie zagłuszyć głosy rywali, „ballyhoo" — to jednym słowem reklama, która sama siebie usiłuje przekrzyczeć. Mianem „ballyhoo" określa Amerykanin np. reklamę w postaci olbrzymiego sfinksa, który reklamuje towarzystwo sprzedaży terenów budowlanych tej nazwy... Albo reklamę na czaszkach łysych panów... Albo reklamę, która posługuje się znanymi osobistościami... W niebywałym stopniu rozpanoszyło się „ballyhoo" w radio amerykańskim. O rozmiarach reklamy radiowej tutaj świadczy wymownie kilka cyfr. Jedynie za dzierżawę rozgłośni radiowych dla celów reklamy płaci przemysł amerykański rocznie 100 milionów dolarów, a wykonawcom programów dalsze 50 milionów. Przy pomocy takich środków nie trudno więc pozyskać także najsławniejsze nazwiska dla audycyj reklamowych. W głośnikach tutejszych często może pani słyszeć Clarka Gable'a, Freda Astaire'a, Joan Crawford, Myrnę Loy i inne popularne osobistości... I nie jest wcale wykluczone, że najdalej za rok usłyszymy również i panią przez radio, sławiącą i wychwalającą jakiś zakład pogrzebowy lub fabrykę nagrobków.

— Żartuje pan.

— Bynajmniej! Dolar posiada przedziwną siłę magnetyczną, którą przyciąga nawet największych i to w tej samej równej mierze, jak pociąga najmniejszych, którzy nie skosztowali jeszcze „rozkoszy", jakie stwarza uczucie posiadania pieniądza.

— Jednak pana nie pociąga ten dolar, jak mi się wydaje, wcale?

— Ach, mnie!... I ja również niegdyś leciałem do tego złotego światła, aż dorwałem się do niego i — sparzyłem się. Teraz jest mi ten blask dość obojętny, o tyle mianowicie, że nie pragnę posiadać więcej dolarów, jak tylko tyle, aby mi wystarczyło do przeżycia dnia dzisiejszego.

— Zabawia się więc pan w anachoretę?

— Nie, do takiej doskonałości jeszcze nie doszedłem. Jestem tylko skromnym człowiekiem, jak jest nią również i obecna tu miss Cecile.

Kaja spojrzała na towarzyszkę. Ta uśmiechnęła się i mrugnęła znacząco w stronę mister Toma. Po chwili rzekła:

— Kochany mister Tom przesadza troszkę, proszę mu nie wierzyć. Może być, że upodobał on sobie praktykowanie cnoty skromności, ale jeśli o mnie chodzi, to ja najchętniej zdobywam dolary, możliwie w największej sumie, aby następnie użyć ich na cele miłe i przystojne.

— Mianowicie?

— Kolekcjonuję orchidee, za którymi gotowa jestem nawet w przepaść skoczyć, aby zdobyć ciekawy okaz do swoich zbiorów, odmalować go na płótnie i odsprzedać snobom, dla których wszelka niezwykłość jest w tym kraju arcypociągająca.

— Jest pani zatem malarką?

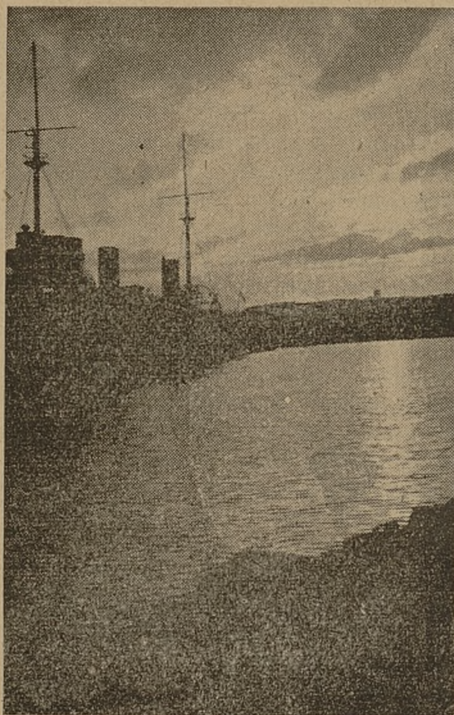
— Czy doktor nie powiedział pani tego dotąd?

— Nie i dlatego mam mu za złe, że zataił to przede mną.

— Nic pani na tym nie straciła. Proszę mi wierzyć, że ja jestem bardzo pospolitą i bynajmniej nie ciekawą osobą.

— Przeciwnie, dla mnie jest pani choćby tylko dlatego ciekawa, że i ja ogromnie kocham kwiaty i w chwilach wolnych lubiłam się zabawić malarstwem. Oczywiście, nie jestem żadną artystką, której obrazy przedstawiałyby jakąkolwiek wartość, i moich prac nie wystawiałam dotąd nigdy na widok publiczny i nie dawałam pod sąd znawców i krytyków.

— Spodziewam się jednak, że mnie jednej pokaże pani niektóre swe prace?



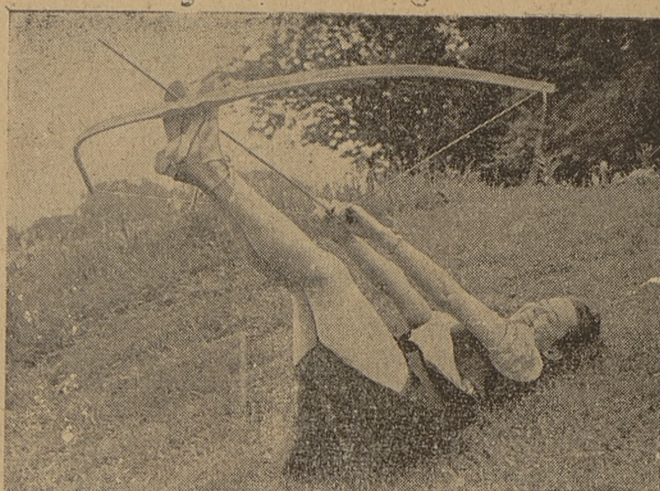
W porcie

Lekko statki się kołyszą,
Lekko flagi się trzepocą,
Milknie przystań głuchą nocą,
Ledwie senne głębie dyszą.

Maszty skrzypią, fala pluska,
Potrącając czarne statki.
Naraz miga w wodzie gładkiej
Księżycowa złota łuska.

Nad wieczorne mórz tumany,
Na toń cichej lepkiej wody
Wszedł podłużny miesiąc młody,
Miesiąc, we mgle wykąpany.

K. M. Górski.



Na oryginalny pomysł ułatwienia sobie strzelania z łuku wpadła pewna studentka angielska.

— Obawiam się druzgocącej krytyki. A poza tym nie posiadam tutaj nic, cokolwiek nadawałoby się do pokazania pani.

— Zobaczymy. Jeżeli pani pozwoli, odwiedzę ją kiedyś w jej domu.

— Będę pani bardzo zobowiązana. Nie znam tutaj nikogo, o kim mogłabym powiedzieć, że jest moim przyjacielem, toteż znajomość z panią, jak sądzę, przyniesie mi wiele miłych chwil.

— A w dodatku, jako malarka — wtrącił doktor — miss Cecile może się pani przydać do kreowania modeli sukien, które pokaże pani na filmie rozmaitym pięknym niewiastom kuli ziemskiej.

— Pomysł, doktorze, istotnie doskonały. Ale tymczasem, jeśli łaska, zajdźmy do jakiego zacisznego i chłodnego lokalu, aby się napić czegoś chłodzącego.

Udali się ku niedalekiemu małemu budyneczkowi, który ginął w ogromnych palmach i mnóstwie kwiecia egzotycznego. Tutaj wypili po szklance wody, pospacerowali jeszcze czas jakiś po wspaniałym parku i znaleźli się znowu na ulicy.

— Dokąd zmierzasz, kochany doktorze? — zagadnęła miss Cecile.

— Chwilowo jestem na rozkazy pań.

— A więc rozkazuję panu zostawić nas i udać się do szanownego mister J. B. Bellowinga, gdyż zacny ten jegomość zapewne stęsknił się za panem, nie widząc go tak długo. My zaś obie z panią de Rieth pojedziemy do mnie, aby sobie tam tak czysto po kobiecemu pogwarzyć.

— All right i dowidzenia.

— Do miłego...

Doktor oddalił się, a obie panie wsiadły do pięknej limuzyny malarki i pojechały do jej mieszkania.

Miss Cecile nie kolekcjonowała bynajmniej swoich orchidei dla snobistycznych celów jak kolekcjonują niektórzy guziki, stare buty, fajki lub laski dla samej próżności, ale jedynie i wyłącznie dla celów artystycznych, gdyż kwiaty te posiadają w sobie coś niezwykle pięknego i uroczego.

Spośród wszystkich kwiatów, najpóźniej zawitała do krajów cywilizowanych podzwrotnikowych orchidea. Trudność wychowania tego kwiatu, pasożytującego na sokach innej rośliny, czyni go do dzisiaj rzadkim i cennym.

Orchidea w zupełności zasługuje na wyróżnienie, jakim się cieszy u miłośników kwiatów. Bo jakkolwiek wiązanka każdego kwiecia może być wyrazem hołdu oddanego kobiecie, to orchidea stała się dla niej synonimem zbytku i wykwintu. — Kwiat ten nie mówi o namiętności wyrażanej przez płomienną różę ani o wierności, której symbolem jest niezapominajka. Nie mówi on wybrance o uczuciu i oddaniu, ale raczej o władzy pieniądza, za który tak wiele można zdobyć.

Urokowi tej rzadkiej rośliny uległa również i miss Cecile Hulse Matschat, malarka dużej klasy i dobrej szkoły, która nie mogła zadowolić się bukietem orchidei, lecz wyprawiała się nieraz w bardzo niebezpieczne miejsca dla zdobycia nowego okazu.

Miss Cecile nie była botanikiem, lecz malarką, a orchidea, ten rzadki i jakże nieraz trudny do zdobycia kwiat, pasjonował ją w równej, a może większej mierze, niż zamiłowanego botanika.

Kiedy Kaja znalazła się w luksusowym mieszkaniu miss Cecile, pierwszym, co uderzyło najmocniej jej wyobraźnię, były malowidła kwiatów, zapełniające prawie wszystkie ściany mieszkania. A wśród tych malowideł lwią część stanowiły wyłącznie orchidee i orchidee.

— Oto moje królestwo — uśmiechnęła się miss Cecile, wskazując gestem ściany obwieszone malowidłami.

— Jak tu ślicznie! — zawołała olśniona Kaja. — Pewnie posiada pani tych obrazów całe setki.

— Och, nie tak znowu zbyt wiele! Mam ich zaledwie 2000 okazów.

— Czy to pani nazywa jeszcze mało?

— Zapewne, gdyż na świecie istnieje daleko więcej okazów orchidei, a ja nie mam możności chwilowo ich zdobyć... To, co pani tutaj widzi, to wszystko malowałam z natury na terenie Ameryki Centralnej, jest tego 2000 okazów, przeszło 500 pochodzi z Meksyku i 80 okazów znanych na południu Stanów Zjednoczonych.

— Podziwiam panią! Przecież te zbiory musiały kosztować wiele pieniędzy i wiele niebezpieczeństw.

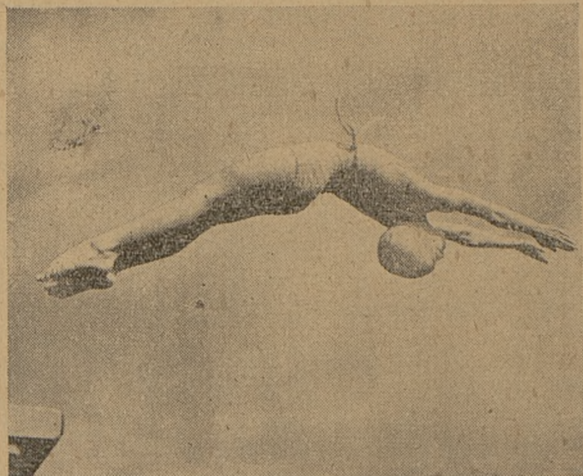
— To wszystko drobnostka, ja się nigdy tym nie zrażałam i nie zrażam. No, ale tymczasem proszę się rozgościć, a ja każę podać coś. Jedząc, porozmawiamy o tym moim, jak przyjaciele nazywają, niebezpiecznym zawodzie poszukiwaczki orchidei.

W kwadrans później obie panie siedziały przy maleńkim stoliczku w rogu wykwintnego saloniku, pod ogromną palmą ogrodową i, popijając kawę, wiodły przyjemną nader przyjacielską pogawędkę. Na prośbę Kai, miss Cecile opowiadała o swoich przygodach podczas rozmaitych poszukiwań oryginalnych i rzadkich okazów tego pięknego kwiatu.

— Kwiat ten — mówiła miss Cecile — jakby świadomy swej czarodziejskiej mocy, wybiera miejsca niedostępne, otoczone w koło bagniskami, gdzie jeden nieostrożny krok śmiałka może grozić mu śmiercią w bagnistej topieli, z której bez pomocy nie można się wydobyć. Kwiatem tym szczycą się trzęsawiska stanu New Jersey, tonące w bogatej roślinności Everglades na Florydzie, Indie Zachodnie, Meksyk, a w największej ilości i w najbardziej niedostępnych miejscach ma go Ameryka Centralna.

Opowiem pani o jednym bardzo nieprzyjemnym zdarzeniu, jakie mnie spotkało w trzęsawiskach Ameryki Centralnej.

Posuwałam się ostrożnie wśród zieleni, nie mogąc oderwać wzroku od cudownego kwiatu, dojrzanego na spróchniałym pniu drzewa, gdy nagle poczułam, iż zaczynam się zapadać w głąb. Zrozumiałam natychmiast niebezpieczeństwo. Starałam się wydostać z czarnej lepkiej topieli, lecz z każdym niemal ruchem zdawałam się pogrążać głębiej. Tonąc w bagnisku, posuwałam się jednak stale naprzód, unosząc w górę ramiona. Dziwnego uczucia doznaje się, patrząc na wolno posuwające się wskazówki zegarka. Wiedziałam, że na pomoc liczyć nie mogę, bo gdyby nawet ta nadeszła, to by śladu nawet po mnie na bagnie nie ujrzała. Poruszając się zwolna w kierunku drzewa, zapadałam coraz głębiej w bagno, które wreszcie dosięgło moich ramion, gdy uchwyciłam zwisającą gałąź drzewa — cel mej niebezpiecznej podróży, na drzewie tym właśnie, wśród bujnej roślinności, wznosił się okazały kwiat orchidei. Nie cieszyłam się jednak zbytnio z dotarcia do celu, nie wiedziałam bowiem, czy gałąź zwisająca ze spróchniałego pnia utrzyma mój ciężar. C.d.n.



8-letnia pływaczka Maureen Dood z Anglii, jest przez swych rodaków uważana za fenomen pływacki. Na zdjęciu Maureen Dook w efektownym skoku.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

Sprawy posuwają się tak daleko, iż królowa Maria Henryka widzi się zmuszoną do osobistej interwencji, by uzyskać uwolnienie Karoliny. Los dziecka już został przesądzony. Będzie żyło, owszem, lecz w takich warunkach, jakie by zabezpieczyły Franciszka Józefa przed jakimkolwiek pretensjami dynastycznymi.

Historycy Karoliny i Maksymiliana milkną przezornie, gdy w swych kronikach dochodzą do tego dramatu. Hrabina de Reinach Foussemagne pisze:

„Z nielicznych wspomnień, które udało mi się zebrać w tej sprawie, wynika jasno, iż miał tam miejsce dramat, jakich zresztą współczesna historia domu austriackiego liczy aż zbyt wiele...“

„Dopiero po porozumieniu Franciszka Józefa z pułkownikiem Goffinet, który przybył w specjalnej misji do Wiednia, po wielu burzliwych scenach z osobami, którym powierzono nadzór nad chorą cesarzową, a zwłaszcza hrabią de Bombelles, po przybyciu do Miramar arcyksięcia Karola-Henryka mogła zabrać nieszczęśliwą małżonkę Maksymiliana do Triestu, gdzie od dziesięciu dni stał pod parą specjalny pociąg“.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Trzeba jeszcze tylko dodać, iż w tym czasie Karolina została matką, jakkolwiek niemożliwym jest stwierdzić kiedy i w jakich okolicznościach. Liczne głosy będą zapewne domagały się na to dowodów, w mniemaniu, iż fakty nieudowodnione nie mogą być zaliczone do historii. Ale czyż historia, która zadawalnia się jedynie pozorami, jest rzeczywiście historią? Nie! Raczej nędzną farsą!

XV.

W Meksyku panoszy się błotnista jesień. Indianie, sprzątnąwszy obfite zbiory manioku i kaktusów, oczekują bez obawy nadejścia zimy, spokojnie popijając w pulperiach ognisty napój, sporządzony ze sfermentowanych soków roślinnych. Październik 1866 roku! Czas dłuży się tym, którzy czekają, zwłaszcza jeżeli mają przeczucie, iż daremnym jest to oczekiwanie! Maksymilian opuścił stolicę i w otoczeniu kilku wiernych sobie osób udaje się do Vera Cruz; tam jest okno na szeroki Ocean, tam jest wyjście z Meksyku! Uciążliwa podróż stromymi drogami wśród przełęczy górskich, trwa długo. Cesarz rozpamiętuje swe krótkie, bo zaledwie niecałe dwa lata, trwające panowanie w Meksyku, wspomina swój przyjazd. Teraz epopea jest już skończona, łuki triumfalne zburzone, zamilkł entuzjazm Indian, zgasły marzenia o kontynuowaniu dzieła Corteza dla dominacji białej rasy nad potomkami Montezumy.

Niepokój nęka duszę, w piersi straszliwa pustka, jak gdyby serce pozostało tam, na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, w przedsionkach nadziei. Czy to zemsta wzgardzonych, wyszydzonych bogów, czy buchnął na nowo płomień, przygasły pod biernością Azteków? Rozrzucone wzdłuż drogi ruiny dawnych świątyń, piramid, posągów, pilastrów, mówią o wielkości starej kultury. Bogowie Mayów i Azteków trwają wciąż, choć idą pokolenia za pokoleniami ze swymi rządami, wicekrólami, dyktatorami.

Maksymilian wspomina widzianą w Teotihuacan olbrzymią piramidę bożka Quetzacoatla, ozdobioną ogromnymi pyskami apokaliptycznych zwierząt, matematycznymi symbolami, rzeźbionymi okapnicami. Quetzacoatl, ten straszliwy bóg Azteków, Kuculcan mistycznych legend Yukatanu, pozostanie zawsze władcą. Ten, który był symbolem wichrów i pierwszej gwiazdy, wschodzącej cicho nad bungalowami, będzie zawsze roztaczał swą groźną opiekę nad odwiecznymi tradycjami uskrzydlonego węża, zachowa swe królestwo po wszystkie czasy. Cortez odszedł. 62 wicekrólów poniosło klęskę. Iturbide umarł z kulą w sercu, a jasnowłosy Habsburg musi z wyroku okrutnego boga opuścić kraj ciepłych sierra, tropiony na ziemiach nowej Hiszpanii, jak drapieżny zwierz.

Cesarz rozmyśla o całej ironii swego przeznaczenia. Nie daje jednak poznać swych uczuć, jest ożywiony i śmieje się w czasie postojów w wioskach na widok oniemiałych Indian, patrzących w cichym zdumieniu na tego boga powracającego na wschód, powracającego tam, skąd przybył. Od kilku dni oczekuje w porcie austriacka korweta „Dandolo“ na którą już załadowano skrzynie cesarza, zawierające szczątki tego, co było niegdyś wielkim cesarstwem.

Jeżeli jesień złoci lasy okalając rudymi koronkami brzegi zielonych liści; z krwawym odblaskiem zachodzącego słońca spada na ziemię nostalgiczny smutek. Cesarz spogląda tęsknym okiem na kraj złudzeń, a gdy zasiada, otoczony swymi wiernymi przyjaciółmi do wieczornego posiłku, w czasie którego opróżniają się ostatnie butelki wyśmienitego wina reńskiego, powraca doń z gwałtowną siłą dawna żądza władzy i dumny Habsburg wyrzuca sobie ten odjazd, tak podobny do ucieczki...

Maksymilian powinien był pozostać! Nie wszystko było jeszcze stracone. Czterech wiernych generałów czuło się na siłach dokonać dzieła pacyfikacji, zaniechanej dobrowolnie przez Bazaine'a.

Ministrowie przypominają mu zobowiązanie, podpisane w Miramar i cesarza-poetę oblegają znowu marzenia o wspaniałych możliwościach, które traci na zawsze przez swój odjazd.

Wieczorami, gdy przed zaśnięciem, myśl błąka się na granicy świadomości i tajemniczych światów snu, dręczy cesarza głos sumienia, przypominający mu o świętych przysięgach i obowiązkach panującego. Jaskrawymi głoskami płyną w pamięci słowa cesarzowej, wypowiedziane przez nią przed odjazdem do Europy, którzy stracili tron z własnej winy:

„Karol X i mój dziadek Ludwik-Filip zgubili się, dobrowolnie abdykując. Nie należy zatem iść w ich ślady. Pierwszy z nich uniemożliwił swym potomkom dostęp do tronu; drugi, po osiemnastu latach pomyślnego panowania skazał swą rodzinę na długotrwałe wygnanie, a rządy jego stały się w oczach współczesnych, rządami gadatliwego krasomówcy.

„Abdykować — to wydać wyrok na siebie, to dać świadectwo bezsilności. Takie posunięcie może być zrozumiałe u starców lub u ludzi słabego umysłu, lecz jest niedopuszczalne u trzydziesto-czteroletniego suwerena w pełni sił, mającego całą przyszłość przed sobą... A więc, ja twierdzę, iż cesarzom nie wolno się poddawać. Dopóki będzie cesarz, będzie i cesarstwo, choćby obejmowało ono zaledwie sześć stóp ziemi. A cesarstwo bez cesarza jest niczym!“

Maksymilian powtarza sobie ostatnie słowa swej małżonki i w głębi ducha pragnie pozostać, pragnie być cesarzem aż do końca, pragnie stanąć na czele swych wojsk, by zgnębić bezlitośnie Juareza i okazać, iż Habsburg pozostaje do końca cesarzem, cokolwiek by się nie stało.

Biedna Karolina! Gdybyż wiedziała! Gdybyż przynajmniej była u boku męża, by wspierać go swą miłością! Ale nie ma jej, nie ma nic prócz cichej nocy, rozpościerającej za oknem rozgwieżdżone niebo. Srebrny blask księżyca zalewa dolinę mlecznym światłem. Z oddali płyną rozdzierające woła-

nia dzikich zwierząt. W sąsiednich izbach oberży — uśpione ciała, oszołomione winem, chrapiące jak miechy kowalskie, ciała tych, którzy by pragnęli, aby te ostatnie dni cesarstwa trwały wiecznie.

Biedna Karolina! Gdzież ona jest w tej doniosłej godzinie? Czy opuściła już Rzym, skąd Maksymilian otrzymał zatrważający telegram? Osiemnaście miesięcy temu była jeszcze przy swym ukochanym mężu. Teraz jest ciężko chora, nadsyłane wiadomości są tak niejasne. Bóg jeden wie, czy Karolina żyje jeszcze.

Ze schyłkiem dnia cesarz przybywa do Orizaba i już na przedmieściach ogarnia go zdumienie na widok olbrzymich bram tryumfalnych. Cała ludność miasta występuje w odświętnych szatach, uśmiechnięte twarze Indian świadczą o wiernopoddańczych uczuciach dla cesarza; piękne Meksykanki w koronkowych mantylach przesyłają mu pocałunki dłonią, dzieci rzucają kwiaty, wszyscy wołają „Niech żyje cesarz"! Powietrze jest ciepłe i pachnące. Jeźdźcy na ognistych rumakach harcują po ulicach miasta, Indianie powiewają w braku chorągiewek, kolorowymi osłonami.

Kler Orizaby zajmuje niepewne stanowisko wobec wyjazdu cesarza. Co się stanie z Meksykiem, gdy pozostanie już w nim tylko Juarez? Co się stanie z klasztorami i kościołami i dobrami kościelnymi? Brodaci mnisi wychodzą z relikwiami i szkaplerzami, a półnadzy metysi, gładząc swe poświęcane medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej, stoją w oknach swych domostw i wydają entuzjastyczne okrzyki radości.

Maksymilian zatrzymuje się kilka dni w tym mieście radości i wytchnienia. Prześliczne położenie miasta, jesienna cisza, przedmieścia o bogatych willach wśród palmowych ogrodów z których wytryskują ponad okalający mur wierzchołki drzew i upajające aromaty kwiatów, przypominają cesarzowi dni pobytu w Cuernavaca. W głębi starego parku, wciśnięty w dżunglę tropikalnych roślin, stoi domek ogrodnika. Wokoło zagony kwiatów, gęstwa kolczastych drzew, smętne pieśni pasterzy, tragiczne kształty kaktusów, błękitnowodne fontanny, i wreszcie olbrzymia willa, wyściełana grubymi dywanami, po których, może teraz właśnie, cicho stąpa zapłakana ogrodniczka, tak piękna i zmysłowa w swych przezroczystych muślinach.

Żegnaj Curnavaca! Ostatnie miejsce zamieszkania Corteza, który tam zakończył życie, marząc o Andaluzji, ostatnie schronienie Maksymiliana, w którego uszach brzmi jeszcze ciche skrzypienie ukrytych drzwi, którymi szedł na spotkanie swej pięknej kochanki o kształtach z brązu. Jakież dziwne jest życie, uciekające w przeszłość godzinami dni i nocy! Jakże słodka była ta ogrodniczka o pieszczotliwych dłoniach! Co się z nią teraz stanie? Kto będzie patrzył w jej ciemne oczy o odblaskach nieba?

Co uczyni piękna ogrodniczka po wyjeździe cesarza, opuszczona przez swego jasnowłosego boga, o którym wciąż marzy w wielkim starym parku? Co uczyni piękna metyska z Cuernavaca, która dała tyle szczęścia Maksymilianowi. Co się stanie z tym, który się narodzi z tej wielkiej, cudownej miłości, który będzie jedynym potomkiem Maksymiliana? Ach, jakież dziwne jest życie! Czy nie lepiej, jeśli Karolina umarła, by cesarz pozostał w Meksyku i przekazał swój tron temu opatrznościowemu dziedzicowi?

Niezadługo zapewne usłyszymy szczegóły tej nieznanej tragedii. „Dziecię z Cuernavaca", które przez całe życie mieniło się być jedynym potomkiem Habsburga, zmarło w 1917 roku, skazane na śmierć przez rozstrzelanie, podobnie jak ojciec. Dzieje jego, osobno opisane, wzruszą z pewnością niejedno serce.

Trudno oprzeć się gadatliwym doradcom, a zwłaszcza ojcu Fisherowi, którzy ustawicznie błagają cesarza o pozostanie w Meksyku. Ministrowie zdają sobie teraz sprawę, iż ostatnie nadzieje konserwatystów zgasną z chwilą odjazdu Maksymiliana. Nikt nie chce słuchać rozsądnych przestróg ambasadora Anglii, który jest zdania, iż cesarz nie będzie się mógł utrzymać po odejściu Bazaine'a. Mijają dni. Zbliża się dzień Wszystkich Świętych, po raz drugi spędzany w Meksyku. Ulice zapełniają się straganami i prowizorycznymi szopami. Sprzedawcy relikwii i amuletów szykują swe stoły, grube Indianki sprzedają trupie czaszki z kandyzowanego cukru. Ludność się bawi, śpiewa, tańczy i pije w pulperiach. Maksymilian ustawicznie waha się. Serce jego rozdzielone między Meksyk i Europę; syrena z Cuernavaca przyzywa go namiętnie, a jednocześnie dręczy go okrutny ból na wspomnienie Karoliny. Cesarz robi sobie wyrzuty z powodu tego rozdwojenia uczuć, męczy się tym, iż jedna połowa jego istoty ciągnie ku wybrzeżom Adriatu, podczas gdy druga wyrywa się ku zacisznemu parkowi o podzwrotnikowej roślinności. Niestety, życie wciąż przynosi trudne do uzgodnienia rozbieżności; trzeba wybierać, trzeba się wznieść ponad siebie; Maksymilian decyduje się na powrót do Miramar.

Wkrótce jednak sprawa powrotu groźnie się komplikuje. Nowe alternatywy opóźniają decyzję i zatrzymują cesarza w Orizaba.

Hoorickx, konsul belgijski, donosi w swych raportach o ustawicznym niezdecydowaniu i wahaniu cesarza, który jeszcze w dniu 9 listopada wydaje się wciąż na coś oczekiwać i dla zabicia czasu urządza wystawne przyjęcia z szampanem. Nazajutrz, to jest 10 listopada Maksymilian otrzymuje wstrząsającą wiadomość z Wiednia, iż cesarz Franciszek Józef żąda dotrzymania podpisanego w Miramar układu.

Maksymilian jest wzburzony do głębi. Czyż nic go już nie oczekuje w Europie? Czyż nie ma dla niego miejsca w Austrii? Cesarz Franciszek Józef oświadczył kategorycznie za pośrednictwem swego zaufanego pułkownika Bombelles, iż zakazuje swemu bratu wstępu do Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego. Żegnajcie sny o wielkości w starym świecie, dla Habsburga jest już tylko jedna możliwość: pozostać w Meksyku, cokolwiek by się nie stało. Zresztą ciągłość dynastii, zapewniona przez „dziecię z Cuernavaca" wymaga tego bezwzględnie.

11 grudnia cesarz wraz ze swą świtą opuszcza Meksyku patrzy ze zdumieniem na powracającego cesarza, o którym przypuszczano, iż zniknął już raz na zawsze. Fatalna decyzja zapadła jednak ostatecznie. Korweta „Dandolo" wypłynęła już na środek Oceanu! Jedynie meblom z pałaców cesarza przeznaczone było dopłynąć do ziemi austriackiej!

Orizabę; nazajutrz niechętnie usposobiona stolica

W Europie zaś, jak zwykle, wszystko jest otoczone tajemnicą. Z dnia na dzień oczekuje się przybycia cesarza Meksyku. Prefekt Miramaru, otrzymawszy od Maksymiliana telegraficzne zlecenia, pospiesznie szykuje pałac na wyspie Lacroma.

Habsburg powziął wielką decyzję i wykaże teraz niewzruszone choć nieco spóźnione męstwo. Musi zwyciężyć lub zginąć. Od chwili powrotu do stolicy narodził się w nim nowy człowiek, który zadziwia otoczenie swą wolą i trochę nierozważną brawurą. Chcąc rozważyć w skupieniu swe szanse, odosobnił się na kilka dni w luksusowej haciendzie jednego ze swych przyjaciół; po dłuższych rozważaniach postanowił stanąć na czele swego wojska, liczącego zaledwie 15.000 ludzi. Nie bacząc na to, iż trzeba będzie walczyć jednemu przeciw czterem, ułożył ze swymi generałami Miramonem, Marquezem, Medezem i Mejia, których zwał „moje

Ciąg dalszy na str. 793.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

LIŚCIE LECĄ...

Przez ciche, senne zamieranie
lata... co gaśnie zapomniane —
w chwilach — gdy w sercu twym
wspomnienia...
odblaski słońca dawne wzniecą...
w październikowy, późny wieczór,
powiędłe
liście
zwolna
lecą...

Przystaniesz chwilę, spojrzysz w górę,
w płynące w bezkres wieczorne chmury,
Ponad którymi słońce złote
rzuca szkarłatny blask w tęsknotę —
i gaśnie łuną swą ogniście...
a tu nad tobą żalą się sennie
legendą polną serca jesienne...
strącone liście!...

Wieczór dogasa nocą powrotną —
Odszedłeś w szczęście...
wracasz w samotność —
przez drzew gałęzie, jak łzy zastygłe,
gwiazdy odblaskiem perłowym świecą...
— — — a wicher łka...
a
liście
lecą...
lecą...

Józef Baranowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

REFLEKSJE POZJAZDOWE

No i jest już po zjeździe, który wbrew wielkim zapowiedziom nie skupił ogromnej liczby uczestników. Jak to zwykle u nas bywa, więcej było głosujących niż tych, którzy dotrzymali słowa i zjechali w dzień oznaczony do Żnina. A szkoda, bo przygotowaliśmy z Wujkiem Januszem wszystko tak, aby zjazdowicze mogli wywieźć maximum zadowolenia. Było więc szczegółowe zwiedzenie naszych Zakładów, dalej Targów Pałuckich, wieczorem herbatka, a po niej tańce, była też niespodzianka (specjalnie na ten cel wydrukowane pocztówki z pseudonimami „Krainiaków" oraz pędzącym pegazem).

Ci, którzy zostali na wieczór, bawili się ochoczo i miło do późna i zapewne nie doznali rozczarowania. Zaś ci, którzy nie przyjechali wcale, niech do siebie samych mają o to pretensje.

Na tym miejscu składam podziękowanie za telegramy życzeniowe, nadesłane przez „Azę", „Bajkę" i „Miłą Zapałeczkę" oraz „Samotnego — Chorzów I". *Zofia.*

APEL

„Obserwator I". Zamieszczam Twój ostatni apel:

„Mam lat 25. Według książeczki wojskowej: brunet, oczy ciemno-piwne, wzrost 172 cm. Wykształcenie średnie. Pochodzę z powiatu wąbrzeskiego. Po odbyciu służby wojskowej otrzymałem posadę państwową w Gdyni. Tu czuję się bardzo osamotnionym. Z powodu wrodzonej nieśmiałości nie mam żadnych znajomości. Dlatego pragnąłbym korespondować z miłymi P. z Gdyni i jej okolic, Bydgoszczy, Grudziądza. Wszystkich „Krainiaków" mocno pozdrawiam."

JESZCZE LIST BEZ PSEUDONIMU!

P. L. F. — M. Nic takiego nie uczyniłaś Dziecino, za co mógłbym się pogniewać na Ciebie, ale w liście, na który niniejszym odpowiadam zapomniałaś umieścić swój pseudonim, a ja go nie pamiętam i dlatego nie wiem, który z listów poprzednich był Twoim.

Dzisiejsze komunikaty zamieszczam, a Ciebie pozdrawiam serdecznie!

„Halo! „Bolkowi ze Śląska" pozdrowienia i uśmiechy!

„Przybłędo Leśny"! Chciałabym z Panem korespondować, ale pierwsza się boję napisać!

„Samotny Lutku" — czy można Pana zdradzić?

Pozdrowienia dla „En-Ka", „Kaliny", „Wesołej Maruszki" z prośbą o listy!"

OGŁOSZONE BĘDĄ WE WRZEŚNIU

„Bursztynowe Serduszko". Zadowolona jestem, że czujesz się tak doskonale i że humor nie opuszcza Cię ostatnio.

Twoja koleżaneczka została już przyjęta do naszego grona — przypuszczam, że zadowolene jesteście z tego powodu obie.

W sprawie Twego pytania, informuję uprzejmie, że do ustawy o pomocniczej służbie kobiet opracowywane są obecnie rozporządzenia wykonawcze. Ogłoszone będą w końcu września lub w październiku.

Wówczas dopiero będę mogła przesłać Ci szczegółowe informacje.

Życzę Ci moc radości i przechodzę do komunikatów:

„Zapomniana Sylena". Melutko, jak Ty żyjesz? Pamiętam i cudne oczki Twe całuje po tysiąc razy. Może napiszę list.

„Zbijobruk - Poznański". Serdecznie pozdrawiam. Co porabiasz?

„Elżuniu z Torunia". Skrobnij liścik do Krzysi. Całuję Cię mocno. Zapomniałaś?

„Bajkę" i „Złote Słoneczko" całuję mocno.

„Szyderco". Wina moja, ale wybacz, że nie napisałam, czas nie pozwalał. Proszę dać znać w „Krainie", czy bardzo Pan się gniewa. Przesyłam moc pozdrowień!

„Jaś - Sokół" niech przyjmie uśmiechy.

„Ludwiśko B". Co słychać? Czekam na list. Całuję i ściskam!

„Halo! „Krainiacy" pamiętajcie o „Krzysi - leśniczance", bo to miła dziewczynka"!

SĄDZĘ!...

„Koralowe usta". Piszesz mi, że jesteś wysoką, szczupłą osóbką, masz długie kasztanowate warkocze, duże niebieskie oczy i czarną ich oprawę. Kochasz kwiaty, naukę i jesteś na ogół szczęśliwa, tylko nie masz szczerej przyjaciółki — chcesz ją wobec tego znaleźć w naszym gronie.

Sądzę, że uda Ci się ją znaleźć i dlatego już dziś życzę miłej korespondencji!

„Halo! Pragnę korespondować z „Krainiakami", ale nie wiem, kto zechce przyjąć moje listy. Czy „Terenia z szlacheckiego dworku", „Jagódka leśna", „Jolka z dorku za wsią" i „Dziewczynka z zaklętego młyna" przyjmą moje listy?"

ŻAŁUJĘ!

„Irusia z Wołynia". Nie, Dziecino, nie wybieram się na Targi Wołyńskie do Równego, przeto nie będziesz mogła mnie tam spotkać, ani tym samem pomówić ze mną. Żałuję bardzo ale zrealizować tego Twego pomysłu absolutnie nie mogę.

Niepokoi mnie stan Twoich płuc — musisz je bardzo kurować i uważać, aby nie narazić się na ponowne przeziębienie.

Wierszyki ma Wujek Janusz w teczce.

Całuję Cię serdecznie i czekam na nowy, tak ogromnie miły list!

„Biała Uajali". Napisz do mnie — odpiszę ciekawie i dużo. Ściskam! „Wa-Ga". Weź na odwagę i napisz dużo, opiszę Ci Zaleszczyki, łączę pozdrowienia!"

CO Z PSEUDONIMEM?

P. H. B. List Twój jest podpisany nazwiskiem bez pseudonimu, dlatego nie wiem, które komunikaty miałam Ci przedrukować. Może już były?

Sprawę prenumeraty „Mojej Przyjaciółki" i „Moich Powieści" zleciłam naszej administracji. Można i na jednym przekazie przesyłać opłatę za oba pisma, lecz koniecznie należy zaznaczyć na przekazie, na które pismo, ile się wpłaca.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i czekam na następny list z pseudonimem i dokładnym adresem.

IDŹ SOBIE

Marzyłem szczęście nie raz i nie dziesięć —
szczęście we dwoje.
Wierzyłem, że otworzą mi się
podwoje
raju na ziemi.
Brednie!
Bogowie szczęścia są niemi
i głusi na wołania.
Żadne prośby ni łkania
nie zbudzą ich.
Gdy bramy się otworzą,
to chyba tylko piekła
i zioną grozą
i potworność zachichocze wściekła...
Bo to raz mi mówiłaś:
— „Będę ci wierną, bo kocham".
Brednie!
Życie zadało temu kłam.
Tyś nigdy nie kochała —
nigdy!
Zawsześ łgała!
Dzisiaj — wstyd mi,
żem ci zawierzył przez chwilę;
lecz twoje wyznanie łechtało mile
moją próżność.
Ale dziś dość!
Dość tego kłamu,
przeniewierstwa, blagi.
Idź sobie — znać cię nie chcę.
Nie zajrzę do twego domu —
nie zobaczą mnie twoje progi,
nie ujrzą twe oczy złe
— nigdy — nie!
Sam pójdę dalej
i ty idź sama —
dalej przewrotna,
zakłamana — *
idź sobie — szukaj nowego
dla swego serca pana.

Adam Czekalski.

O PRZYJĘCIE!

„Halina Ślązaczka" prosi mnie o przyjęcie do „Rodzinki" i tak pisze do Was:

„Jestem Ślązaczką. Obecnie pracuję w cichej, spokojnej wiosce. Praca jednostajna, może nawet nudna, lecz ja się wcale nie skarżę, przyzwyczaiłam się do niej, pokochałam ją! Mówią, że jestem wesoły „łobuz", lecz ja bym nie powiedziała — życie nauczyło mnie wiele i przyniosło wiele łez i rozczarowań. Jedyną moją rozrywką wśród tej jednostajnej pracy byłby jaki miły liścik. Może ktoś z „Krainki" miałby ochotę napisać do „Haliny Ślązaczki"? Będę wdzięczna za każdy otrzymany liścik — — odpowiedź murowana! Przy czytaniu nr. 33 „Moich Powieści" uderzył mnie wierszyk w „Krainie Szczerości" p. t. „Moje Bogactwo". Rozumiem doskonale, co to za bogactwo, co za szczęście, gdy człowiek ma spokój duszy i nie czuje smutku. Gdy będzie mi smutno, przypomnę sobie ten wierszyk. Autorowi przesyłam słowa uznania".

DZIĘKUJĘ!

„Młodemu Orłowi" za pozdrowienia, nadesłane z pobytu na szybowisku w Fordonie.

Może napiszesz mi znów długi, długi list, w którym będą zamknięte wszystkie wrażenia z ostatnich miesięcy.

Zasyłam Ci mocny, przyjacielski uścisk dłoni i czekam!

PRZESŁAŁAM!

„Szyderca". List, nadesłany mi dnia 5 sierpnia, przesłałam na właściwy adres — przypuszczam, że otrzymał Pan już odpowiedź. Pozdrawiam!

PROŚBĘ SPEŁNIŁAM!

„Ismail". Prośbę Twoją spełniłam — wynik już zapewne jest.

Życzę Ci dużo przyjemności i przesyłam uścisk dłoni!

WYSŁAŁAM!

„Blady Kwiat". List dla Pana wysłałam, gdzie należało — czy już go Pan otrzymał? Przesyłam miłe pozdrowienia!



Urok dziewczęcy bije z twarzyczki „Chochlika".

CHMURA NA CZOLE

Ja nienawidzę tych czół pogodnych,
Jak gnuśne w stawach wody,
Tych lic rumianych, a takich chłodnych,
Gładkich jak, zimowe lody.

Ja lubię widzieć, gdy twarz młodzieńca
Podarta boleści radłem,
A smutku chmura w krąg, na kształt wieńca,
Na czole wije się zbladłym.

Bo chmura smutku posępna, czarna,
Znać daje, że tam nie śpiąca,
Ale jest dusza myślą ciężarna,
Uczucia burzą kipiąca.

O! bo w tej chmurze śpią gromy jasne,
Co bałwan fałszu obalą,
I szranki ducha rozbiją ciasne
I znicz prawd boskich zapalą.

O! bo niech tylko jasnego słońca
Promień jej łona dosięgnie,
Z tej chmury tęcza wybłyśnie lśniąca
I niebo ze ziemią sprzęgnie.

Roman Zmorski.

ZGODNIE Z ŻYCZENIEM PANI

„Wierna". Sprawę administracyjną przekazałam do działu administracyjnego do załatwienia. „Moje Powieści" ma Pani opłacone do listopada włącznie, a „Moją Przyjaciółkę" do czerwca br., zatem z opłatą za tę ostatnią zalega Pani.

Dziękuję za fotografie, których nie zamieszczam, zgodnie z Pani życzeniem.

Życzę Pani dużo, dużo dobrego i pozdrawiam serdecznie!

NIE PRZEJMOWAĆ SIĘ!

„Księżniczka Henrietta". Z ochotą przyjmuję Cię do „Krainy" i proszę, aby ona odtąd była Ci tak drogą, jak drogą jest dla Twej koleżanki, o której mi wspominasz.

Sprawy administracyjne załatwiono już. Prenumeratę masz opłaconą do października włącznie. Proszę Cię nie przejmować się tym, że otrzymałaś zlecenie — nasza administracja wysyła zlecenia co kwartał do wszystkich prenumeratorów, którzy zalegają z tego czy innego powodu z opłatą i nie ma w tym żadnej ujmy dla otrzymujących te zlecenia. Dla nas natomiast jest to ogromnym usprawnieniem w pracy. Jeszcze raz powtarzam, że fakt wysyłki zlecenia nie dowodzi braku zaufania dla prenumeratora, lecz raczej jest wynikiem ścisłego załatwiania rachunkowości przez dane przedsiębiorstwo.

Sprawę Twej Siostry też poruszyłam, ale dla ścisłości dobrze by było, abyś doniosła mi kiedy i za ile miesięcy wpłaciła Pani Siostra.

Zadowolona jestem, że dzięki temu, iż napisałaś mi szczerze o tej prenumeracie — będziemy mogli tę sprawę uregulować.

Czekam na przyobiecane zdjęcie!

A na razie całuję Cię i przechodzę do komunikatów:

„Krajniacy"! Prośba w formie pytania — a kto napisze do mnie?

„Bajko"! Dzięki Ci za wstawiennictwo — domyślasz się chyba, kto Ci dziękuje! Czemu nie piszesz? Wybieram się do Ciebie i ani się spostrzeżesz, jak zawarczy motor u Twoich gościnnych progów.

Jestem łodzianką — może więc ktoś z kominowego grodu — skrobnie coś? Adres: poste-restante Łódź 7, dla „Księżniczki Henrietty".

„Mery z Gdyni", „Zuch Dziewczynie", „Dzikusce znad morza", „Przybłędzie leśnemu", „Belfrowi" i wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" serdeczne pozdrowienia od „Księżniczki Henrietty"!

BĘDĘ MIAŁA POCIECHĘ!

„Mała Joan - Sokolica". Z przyjemnością przyjmuję Cię do grona naszej „Rodzinki" i przyrzekam, że zawsze chętnie będę służyła Ci radą i pomocą. Z drugiej strony, stwierdzam, że należysz do tych osób, które potrafią same dzielnie i zwycięsko kroczyć przez życie, bez zbytniego oglądania się na rady i pomoce postronnych — prawda, że tak jest?

Umiesz cichutko, bez widzów popłakać sobie w kątku, a potem sama się pocieszyć — a to jest dobre, bardzo dobre w życiu! Czuję, że będę miała z Ciebie pociechę.

A teraz komunikaty:

„Samotny Chorzów I". Chciałabym druha poznać — proszę napisać do mnie. Jestem dopiero kilka lat sokolicą, ale może spotkaliśmy się na jakimś zlocie.

Mnie też spotkało rozczarowanie, że zlot we Lwowie odwołano.

„Li - Sokolica", „Jasiu - Sokole" i wszyscy Sokoli „Krainy" i ślę Wam pozdrowienie „Czołem"! Napiszcie!

„Słoneczna Jasieńko" — mamy jedno imię. Ślę serdeczne pozdrowienia. Może skrobniesz?

„Wesoła Ślązaczko"! Ślę Ci moc promiennych uśmiechów, takich, jak Ty sama rozsyłasz. Ucieszę się, gdy napiszesz do mnie. Śląsk znam bardzo dobrze, a najlepiej Katowice i Chorzów. Mam stamtąd miłe wspomnienia.

„Przybłęda Leśny". Podobał mi się ten list „Jak to było w Worochcie". Cieszę się bardzo że podoba się Panu Lwów, ja Lwów bardzo lubię — chodziłam tam do szkoły. A te pejsate Icki jak ich Pan słusznie nazwał, to wstrętnictwa! O! Gdyby tak można było zapakować ich do wagonów i odesłać, ale nie do Poznania szkoda zaśmiecać ulice, raczej gdzieś... no domyśl się Pan. Proszę przyjąć mocny uścisk dłoni i napisać do mnie, odpowiedź pewna!

Dla całej „Krainki" moc pozdrowień!"

ABYŚ ZAPOMNIAŁA!...

„Szara Niedola". Chętnie przyjmuję Cię, Dziecino, do naszej „Rodzinki" i życzę, abyś w niej zapomniała o szarej i ciężkiej swojej doli. A miałaś ją rzeczywiście ciężką, jak ołów i twardą niczym skały!

Dziwię się tylko, jak się to stało, że mimo, iż spędziłaś tyle lat w Rosji — piszesz tak dobrze po polsku. Zupełnie nie potrzebujesz się tłumaczyć z błędów w pisaniu, bo popełniasz ich niewiele i doprawdy niejedną i niejednego, którzy ukończyli polską szkołę, mogłabyś zawstydzić.

Z duszy pragnę, abyś mogła śledzić życie naszej „Krainy", dlatego też przez miesiąc będziesz otrzymywała „M. Powieści" bezpłatnie a potem może już zaoszczędzisz na dalszą prenumeratę.

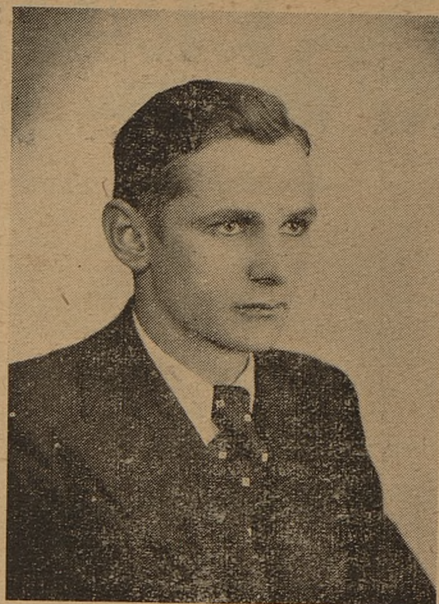
„Proszę mnie zrozumieć, że tak gorąco garnę się do Was, którzy mieliście jasne, jak promyczek słoneczny, dzieciństwo; garnę się z otwartymi rękoma, jak do braci i sióstr moich. Oni mnie nie zrozumieją nigdy, bo będąc przy rodzicach, mieli wszystko! Chciałabym dużo pisać, wypowiedzieć wszystko, co czuję i co mnie boli! Wiem, że jesteście bardzo szczęśliwi, macie byt zapewniony, a ja błąkam się, jak ten wicher skalny. Garnę się do Was i do Pani, przyjmicie mnie do swojej „Rodzinki"! Chcę być bardzo szczęśliwą i uczyć się wszystkiego co jest dobre, chcę być prawdziwą Polką, ukochać swój kraj i żyć z wami, Drodzy „Krainiacy"!

NA RAZIE!

„Samotny Agronom". Owszem, konstatuję, że ostatnio pisał Pan często. Odpowiadam na list Pana z sierpnia, nie po kolejce, bo wiem, że się niecierpliwisz, ale na list poprzedni odpowiem, gdy przyjdzie jego kolej, gdyż trudno mi go wyszukać w stosie innych.

List wysłałam na właściwy adres.

Na razie przesyłam Panu przyjazny uścisk dłoni.



Oto podobizna „Naturalnego", który od niedawna jest członkiem „Krainy".

JEST W TOKU!

P. E. Zeltzer. Proszę bardzo czuć się wśród nas, jak w najbardziej własnej rodzinie i wzajemnie kochać nas choć troszeczkę!

Jak już Pani zapewne zdążyła zauważyć, przyjęłam Ją w poprzednim numerze do naszej „Rodzinki". Sprawa, związana z „Moją Przyjaciółką" jest już również w toku załatwiania.

Na razie pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i czekam na miły list!

PISZ!

„Stella". Przyjętą zostałaś, Kochana Dziewczynko, do naszego grona i czuj się w nim naprawdę dobrze. Zresztą takie miłe dziecko, jak Ty, na pewno wszędzie, gdzie tylko się znajdzie, potrafi rozsiać mnóstwo uśmiechów i zadowolenia.

Prenumeratę masz opłaconą do listopada włącznie.

Całuję Cię i pisz!

Z RADOŚCIĄ!

„Wilnianka". Z radością przyjmuję Panią do naszego grona i poniżej przedrukowuję Jej list:

„Szanowna Pani! Znamy się już trochę — a raczej ja Panią znam z Jej serdecznych listów i miłych komunikatów do czytelników „M. Powieści". Wie Pani, zupełnie przypadkowo znalazłam Panią na tym dużym Bożym świecie. Pracuję na poczcie i masę gazet i czasopism przeglądam, aż przypadkowo kiedyś trafił mi w ręce numer omawianej gazetki — przejrzałam — podobał mi się kilka następnych numerów już z zainteresowaniem wielkim od deski do deski przeczytałam i wreszcie pewnego pięknego dnia, kiedy miałam dużo dobrego humoru i idealne samopoczucie (dużo trzeba było na decyzję!) postanowiłam zrobić sobie prezent imienionowy sama i zaprenumerowałam te miłe, a teraz już także i „moje" na pewno — „Powieści".

Z tymi finansami — bo czasem bardzo krucho — ale zrobi się jakoś! Strasznie dużo smaruję, na przyszłość obiecuję poprawę i postaram się być już bardzo układną. Liczę 23 wiosny (już razem z zimami) i jestem rodowitą wilnianką, mocno rozmiłowaną w tym starym grodzie Gedymina. Obecnie mieszkam i pracuję w.... Ludzie tutejsi nazywają mię „panią pocztarką" — a służbowy tytuł, to kierowniczka agencji. Zna pani zapewne dużo takich „sierotek" — co to, siedząc na wsi w chałupinie przy okienku, łączą ludzi ze światem i świat z ludźmi.

Jakoś bardzo sympatycznie umie Pani rozmawiać z tą swoją dużą „Rodzinką" — ma Pani tylu przyjaciół, czy znajdzie Pani jeszcze troszeczkę miejsca dla mnie? Jak sama panie wie — miłe listy wnoszą dużo radości w nasze szare życie, dlatego też chciałabym z kimś miłym i kulturalnym pisywać. Czy pomoże mi Pani w wyszukaniu tego „kogosia"? Serdeczne pozdrowienia z Kresów i parę uśmiechów jesiennego słońca ślę (czy nie uciekły przez

drogę!?). Równocześnie proszę o zamieszczenie komunikatu do Chochlika — łączy nas z tą Panią wspólny zawód.

Halo! „Chochlik"! Szukałam agencji Pani w spisie urzędów — chyba Nacpolsk — a nie Mackpolsk — jak było podane.

Jeśli chce się Pani ze mną skomunikować, proszę napisać. Kier. ag. Połoneczka. Ponieważ z wiosną 1939 r. muszę składać egzamin urzędniczy dla kandydatów z wykształceniem średnim i mam notatki, pożyczyłabym je Pani. Czy z kursów przy Dyrekcji Wileńskiej — odpowiadałyby Pani? Proszę skrobnąć — o sobie i o pracy".

ROZUMIEM...

„*Rena z Kolna*". Rozumiem Twoje wahania, Dziecino, w kwestii, którą mi przedstawiłaś, niemniej, mam tylko jedną radę! Wróć do domu, lecz nie zrywaj tej znajomości, przeciwnie, staraj się ją podtrzymać. Jeżeli osoba ta nie jest Ci obojętną, to nie powinnaś zapomnieć o niej nawet przez okres trzech lat, który to okres nie jest znowu tak długi! I odwrotnie, jeżeli uczucie tamtego człowieka jest prawdziwe, to oddalenie nie będzie mu przeszkodą w dążeniu do ostatecznego połączenia się z Tobą.

Fotografię zachowałam na pamiątkę.

Pozdrawiam Cię mile i załączam komunikaty:

„Mary spod Wągrowca"! Jak wiesz, kim jestem, to napisz do mnie!

„Skowronku"! Dlaczego nie dajesz odpowiedzi na mój list?

Dla całej „Krainy" moc pozdrowień!"

OWSZEM!

„*Wiejskie Dziewczę*". Owszem, przyjmuję Cię do „Rodzinki".

Nowa nasza towarzyszka jest młodziutką brunetką — kocha muzykę i wszystko, co piękne! A czy sama jest ładna? Stwierdzicie to, patrząc na jej fotografię, którą zamieszczam.

A teraz komunikaty:

„Młody Rolniku"! Czy koniecznie musi być ktoś z Konina? To może nie przyjmiesz ode mnie tych paru słów? Podoba mi się Pan bardzo z pseudonimu. Zasyłam Panu szczery uścisk dłoni.

„Samotny". Czy naprawdę Pan taki samotny? Żal mi Pana — musi Pan być i smutny, kiedy jest samotny. Posyłam Panu dużo jasnych myśli.

„Uran". Może i ze mną zechce się Pan poznać. Lubi Pan piękno i przyrodę — ja również to kocham. Może Pan zechce nakreślić do mnie parę słówek?

Dla wszystkich „Krainiaków" i Pani Zofii ślę pozdrowienia!"

MOŻE KTOŚ NAPISZE?

„Dla Sympatycznych Czytelników „Krainy szczerości i naszych trosk" zasyłam serdeczne pozdrowienie. Może ktoś napisze do mnie? Jestem czasami bardzo smutną dziewczyną. Lubię poezje. Adres mój M. S. Żywiec, ul. St. Batorego 275".

ZAMIESZCZAM PANA APEL

„*Czarny Pirat*". Chętnie zamieszczam Pana apel, a w sprawie wierszyka oznajmiam, że jakkolwiek przebijają w nim iskierki talentu, to jednak zbyt jeszcze jest słaby do druku. Może przyśle Pan więcej, na pewno będę coraz lepsze!

Pozdrawiam Pana serdecznie!

„Jestem Wielkp., lat 26, podobno przystojny. Dawniej byłem zapalonym włóczęgą, gdyż jestem harcerzem żeglarzem, poznałem całą Polskę, pływałem na Zawiszy Czarnym do Danii i Szwecji. Było mi dobrze, nie nudziłem się, czułem się zadowolonym z życia. Aż przyszedł czas, gdy trzeba było pomyśleć o przyszłości, życiu samodzielnym. I oto dwa lata temu usamodzielniłem się no i z tej strony jestem zadowolony, gdyż mimo ciężkich czasów, może dlatego, że jestem dobrym fachowcem, nieźle mi się powodzi. Los rzucił mnie jednak daleko od rodziny, od najbliższych, tak że przychodzę czasem chwile, kiedy człowiek chętnie pogwarzyłby z kimś, kogo niestety nie ma, a kogo pragnie znaleźć wśród Was, Drodzy „Krainiacy"!

ODPOWIEDŹ MUROWANA!

„*Cudzoziemka*". Cieszy mnie, że mogę wyświadczyć Pani małe dobro przez przyjęcie do naszej „Rodzinki", co niniejszym uskuteczniam.

Wierzę Pani, że czujesz się opuszczoną na tej swojej wsi. Domyślam się też, jakiego rodzaju praca przypadła Ci w udziale, ba, pewna jestem, że domysły moje są słuszne! Ale to mniej jest ważne, znacznie ważniejsze jest to, że już Cię lubię — tak od pierwszego listu!

A teraz na forum „Krainy" wyjedzie z gracją Twój apel. Bądź zdrowa!

„Krainianki" i „Krainiacy"! Zwracam się do Was ze słodką minką i szelmowskim uśmieszkiem! o przesłanie miłych liścików na ręce Pani Zofii! Jeżeli po tym apelu macie do mnie choć odrobinkę sympatii, to czekam — a odpowiedź dla każdego murowana".

ZAŁATWIŁA ADMINISTRACJA

„*Nimfa Leśna*". Przyjmuję Cię do „Krainy" i proszę, abyś następne listy adresowała w ten sposób: Redakcja „Moich Powieści" a poniżej „Kraina szczerości i naszych trosk", — Żnin Wlkp.

Sprawę prenumeraty załatwiła nasza administracja.

Pozdrawiam Cię i oczekuję następnego listu!

PRZYJMUJĘ I POZDRAWIAM!

H. K. S. Przyjmuję Pana do „Krainy" i proszę czuć się w niej tak dobrze, jak wszyscy Pana poprzednicy! Nie obrałeś sobie pseudonimu — dlaczego?

Informacyj bliższych mam Panu udzielić? No więc pisze Pan do mnie, załączając komunikaty, t. zn. słowa pozdrowień dla osób, którym pragnie Pan powiedzieć coś miłego i które chcesz pozdrowić. A ponadto możesz mi przysłać list, opatrzony na kopercie pseudonimem tej osoby, dla której list ów przeznaczasz.

Pozdrawiam Pana uśmiechem.

MIMO!...

„*Samotny Wędrowiec II*". Wzruszyły mnie losy Pana i gorąco pragnę, abyś wśród „Krainiaków" znalazł tę szczerą, szlachetną duszę przyjaciela, której tak szukasz!

Apel Twój zamieszczam poniżej. Proszę pisać często i dużo!

„Mimo zawodów upokorzeń i przykrej pustki wkoło siebie, ja wciąż marzę o wielkiej, cichej przyjaźni, która by świeciła, jak gwiazda przewodnia w wędrówce szarego, codziennego życia...

Marzę i — czekam!"

NADSYŁAĆ DALSZE PRACE!

„*Edek*". Z miłą chęcią przyjmuję Pana do „Krainy" i już na wstępie oznajmiam, że rysunki Pana pójdą w Il. Kur. P. w kąciku humoru.

Wierszyk natomiast oddałam Wujkowi Januszowi do teczki — ocena zapewne ukaże się niedługo.

Na razie posyłam Panu serdeczny uśmiech i proszę o nadsyłanie dalszych prac.

WOLNO WSZYSTKIM!

„*Irusia z Wołynia*". Wolno tak Tobie, jak wszystkim „Krainiakom" wypowiedzieć się szczerze — ja zawsze chętnie słucham i gdy to tylko jest możliwe, staram się pomóc moim Sympatykom.

Zadowolona jestem, że nie czujesz się źle na swej odległej placówce i że zwierzchnicy cenią Twoją pracę. Staraj się zawsze być równie gorliwą w pracy, bo tylko rzetelnie wykonywana praca daje pełne zadowolenie.

Zdjęcia Twoje ładne — czy pozwolisz zamieścić w „Krainie"?

Wierszyk oceni Wujek Janusz.

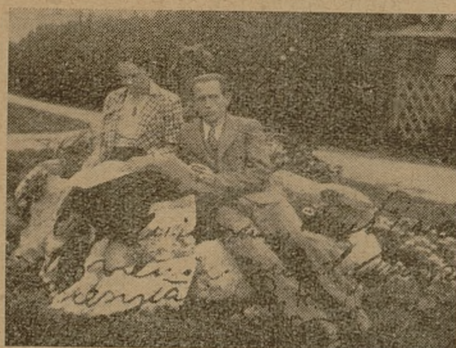
Całuję Cię i pisz!

PROJEKT ODRZUCAM

„*L'esprit inquiet*". Z przyjemnością przeczytałam list Pana, lecz mimo całej mej sympatii dla Niego, nie mogę uznać za szczęśliwy projekt, który w tym liście Pan podaje. Dlatego też odrzucam go bezapelacyjnie.

Wierszyk Pana oddałam Wujkowi Januszowi do teczki, gdzie poczeka na swoją kolejkę.

To byłoby wszystko! Życzę Panu pomyślności w studiach i posyłam uścisk dłoni.



PF. Jan Feliks Płóciennik i Rita Rerner przesyłają nam serdeczne pozdrowienia znad morza.

NOWY SYMPATYK

„*Bezrobotny Banysek*". Przyjmuję Pana do naszego grona i przedstawiam „Krainiakom".

Nowy sympatyk jest mężczyzną wzrostu średniego, włosy ma ciemne, siwe oczy i jest wcale przystojny.

Bardzo zależy mi na tym, abyście przyjęli go chętnie i mile!

Posyłam Panu uścisk dłoni i oznajmienie, że czekam na dalsze wiadomości!

ŻEGNA NAS!

„*Rusałka*" żegna nas wszystkich w liście, który właśnie trzymam w dłoni i na który odpowiadam.

Rozumiem Cię, Drogie Dziecko, i życzę dużo, dużo pomyślności w życiu, które nigdy nie bywa zbyt łatwe.

W spisie pseudonimów, na miejscu, gdzie wypisane było „Rusałka" widnieje teraz gruba czerwona linia i dopisek: „Pożegnała nas".

O ZROZUMIENIE!

„*Jeden ze wsi*". Przyjmuję Pana do naszego grona z miłym życzeniem, abyś rzeczywiście znalazł to wśród nas, czego tak bardzo pragniesz, to znaczy dobro, piękno i zrozumienie.

Nowy nasz towarzysz mieszka w okolicy Krakowa, jest społecznikiem i, jak sam mówi, trochę marzycielem. Lubi urządzać wycieczki w Tatry, bo kocha swoje rodzinne góry.

Bardzo chętnie nawiąże korespondencję z „Krainiakami" o pokrewnych cechach.

Pozdrawiam Pana i oczekuję nowej wiadomości!

POZDROWIENIA

„Czarny Hajduczek" i „Mała Konwalijka" przesyłają nam serdeczne pozdrowienia.

DLA „KRAINIANEK"!

„*Czarnulka z Chełmna nad Wisłą*" przysyła serdeczne pozdrowienia dla „Krainianek"!

JEŻELI...

„*Lucyna*". Nigdy nie należy wątpić w to, że odpowiem na list, proszę mi wierzyć! Fotografię swoją przyślij, jeżeli nie będzie się nadawała do reprodukcji, to dam ją do albumu, a nigdy do kosza.

Życzę Ci dużo szczęścia!

Kto z „Krainy" jest w okolicy Szołder albo Śremu, Czempin, i ma ochotę wybrać się na wycieczkę rowerem lub pieszo, to ja mogę iść.

„Fred" chciałabym z Panem korespondować, ale boję się pierwsza napisać, może Pan pierwszy skrobnie?!

„Młody Orzeł". Znam Pana, proszę zgadnąć, kto jestem?

„Niezapominajka", „Bajka", „Lawrence", „Ferdy" — napiszcie do mnie, odpowiedź murowana! Dla całej „Krainy", pozdrowienia i uśmiechy!"



POD ZNAKIEM WALK...

„*Warszawianin*". Z prawdziwą przyjemnością podejmuję tę „gorącą walkę na pióra". Cała Europa zresztą trwa pod znakiem ewentualnych walk, a więc i my zróbmy maleńką potyczkę, wprawdzie bez szpad i rozlewu krwi, niemniej zagorzałą i konsekwentną. Pytanie tylko kto zostanie zwycięzcą, a kto pobitym. Maleńko — a dowiemy się. Czekam na pierwszy znak, Sympatyczny „Warszawianinie" i pozdrawiam!

NIE RADZĘ...

„*Senorita*". Wyobraźnia bardzo często zawodzi, a więc nie radzę zbytnio na niej polegać! Nowela — „Nieprzeczytany list" — uległa konfiskacie. Proszę napisać coś więcej pogodnego i treściwego, a z całą przyjemnością zamieszczę.

Przesyłam Pani, Miła „Senorito", bardzo serdeczne pozdrowienia i podziękowanie za kochany liścik.

NIESTETY!...

„*Erry Elgin*". Niestety, języka rosyjskiego nie znam, ale to nie przeszkadza, abym tłumaczenia

Pana przejrzał, prawda? Wiersz — „Sen szarego kamienia“ — prawdopodobnie będzie za długi do naszego pisma, niezależnie jednak od tego, radzę Panu przesłać mi go również do przejrzenia.

Pozdrawiam Pana i cieszę się, że nareszcie uchylił Pan nieco rąbka tajemnicy i ponadto tak ujmująco do mnie napisał.

WIERSZE ZOSTANĄ WYDRUKOWANE

P. Helena M., Lwów. Wystarczy rzucić okiem na utwory Pani, aby przekonać się, że są dostatecznie dojrzałe do druku. „Wydrukujemy wszystkie oprócz — „Mi chłopcy“. Za sympatyczne zdjęcie — serdecznie dziękuję i... czy wolno zareprodukować na łamach naszego pisma? Dalsza współpraca Pani z moim działem — będzie jak najmilej widziana!

AFORYZM O GNIEWIE

Jeślis się gniewasz, to złość swą przeczekaj,
bowiem po burzy zawsze jest pogoda,
taką już radę dawał sam Seneka;
jeśli się gniewasz, to złość swą przeczekaj.
Bo ponad wszystkie skarby droższa zgoda,
więc na ubóstwo nigdy nie narzekaj —
każdy w radości rękę tobie poda,
jeśli się gniewasz, a złość swą przeczekasz

Helena Podhalicz - Melnykowa.

RYTM DOBRY, ALE...

„Iuvenes II.“ Przy czytaniu Pańskich wierszy przede wszystkim uderzyło mnie to, że świetnie Pan opanował rytm. Tak, wiersze Pana są bardzo płynne i melodyjne! Nie podoba mi się w nich tylko temat — znany już i wyczerpany na wszelki sposób. Zachęcam Pana do napisania czegoś oryginalniejszego, mniej banalnego i trącącego łatwizną. W oczekiwaniu na jakiś odzew ze strony Pana, ślę Mu jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

WIERSZ — „TAK DUŻO“ — PÓJDZIE

„Przeklęta Iwa“. Wiersze Pani zostały przeznaczone do mej teczki. Do druku wybrałem z nich — „Gdzie idę“... i „Tak dużo“.. Ten ostatni wiersz, o ile uda mi się zdobyć odpowiednie zdjęcie, zamieszczę na okładce. Pozdrawiam Panią!

GDZIE IDĘ...

Gdzie idę — ty idziesz ze mną, niby cień nieodłączny,
Jesteś przy mnie w dzień chmurny i nockę czarną,
Zapalasz w sercu ciepło, jak lampkę ofiarną,
Przyjacielu nieuchwytny, jak promień miesięczny.

Gdzie idę i ty idziesz i słyszę, mówisz, jak żywy,
Z ufnością wyciągam do ciebie ramiona,
I smutnie skłaniam głowę w dół — osamotniona
I modlę się duszą... gdzie jesteś... Bądź szczęśliwy.

Los nas rozrzucił, a ogniwa rozsypane
Szerokim rzutem zatopił w świata pustyni,
Tak spopielił musem młodych serc świątynię,
Jak ogień, który zostawił okopcone ściany.

„Przeklęta Iwa“.

WIERSZ ODDAJĘ DO DRUKU!

P. K. U. Wiersz — „Rozstanie“ — po pewnych poprawkach oddaję do druku. Równocześnie komunikuję Panu, że ucieszę się, jeżeli będzie Pan dalej zasilał moją „Teczkę“ dobrymi utworami. Łączę miły uścisk dłoni!

ROZSTANIE

Zapomnij o tym, co nas tak łączyło,
Gdy miłość nasza kwitła, jak barwny kwiat...
Nie żałuj, że wszystko już się skończyło,
Jak sen uroczy z tych najszczęśliwszych lat.

Ja cię kochałem gorąco i wiernie,
Kładłem u stóp twych purpurowe róże,
A tyś mi tylko oddawała ciernie
I w serce moje wnosiłaś wciąż burze.

Gdy nieraz cud promiennych chwil wspomnę,
To zdaje mi się, że znów, jak dawniej śnię,
Że widzę twe oczy tak nieprzytomne,
Jak wtedy, gdym ściskał drogie dłonie twe.

Wiem, że beze mnie będzie ci znowu źle,
Lecz nie moja wina, że tak się stało...
Nie zawsze jest tak, jak każdy człowiek chce,
A może to wszystko tak stać się miało?...

— — — — — —

Więc żegnaj, droga! Całuję twe ręce,
Przepraszam za krzywdy, za wszystkie burze —
Dla mnie rozstanie — zaczyna się w męce,
Tobie — niech odtąd... kwitną szczęścia róże.

Kazimierz Urbaniak.

100-lecie urodzin Adama Asnyka

Dnia 11 wrześnie br. obchodzono uroczyście, tak w Krakowie, jak i w Kaliszu, stuletnią rocznicę urodzin Adama Asnyka (EL... Y).

Adam Asnyk urodził się w Kaliszu 11 września 1838 r. i tam też ukończył w 1855 szkołę realną. W 1857 zapisał się w Warszawie do Akademii medyczno - chirurgicznej. Studiów jednak nie ukończył, gdyż brał udział w spiskach wolnościowych i po pierwszych manifestacjach został osadzony w cytadeli. Po kilku tygodniach wypuszczono go jednak dla braku dowodów winy. Asnyk wyjeżdża wtedy do Paryża, a następnie do Heidelbergu, zapisuje się na uniwersytet, gdzie rozpoczyna na wydziale filozoficznym studia prawno - państwowe. Na krótko przed wybuchem powstania wraca Asnyk do Polski. W powstaniu brał czynny udział i nawet przez jakiś czas był członkiem Rządu Narodowego. Po upadku powstania zmuszony jest uciekać za granicę, do Włoch i tam też napisał pierwsze wiersze w roku 1864.

W Polsce pierwsze utwory Asnyka drukowane były w wychodzącym we Lwowie „Dzienniku Literackim“. W roku 1870 przenosi się Asnyk na stałe do Krakowa. Dnia 4 listopada 1875 roku odbył się w Poznaniu w kościele Przemienienia Pańskiego ślub Asnyka z panną Kaczorowską, córką słynnego lekarza poznańskiego Teofila Kaczorowskiego. Niestety małżeństwo to nie było długotrwałe, gdyż w niespełna rok po ślubie, żona umiera.

Wspomnieć jeszcze wypada, że z inicjatywy Asnyka założone zostało w Krakowie w 1891 roku Towarzystwo Szkoły Ludowej, które jak wiemy położyło bardzo duże zasługi na polu szerzenia oświaty polskiej w byłym zaborze austriyjackim. Asnyk był również założycielem i redaktorem naczelnym największego ówczesnie dziennika krakowskiego „Reforma“, późniejsza „Nowa Reforma“.

Pod koniec życia wyjechał Asnyk na Cejlon i do Indyj celem poratowania zdrowia. Nie pomogły mu jednak te podróże i wkrótce po powrocie, dnia 2 sierpnia 1897 umarł w Krakowie i pochowany został w grobach zasłużonych na Skałce.

Dla lepszego zobrazowania wrażenia, jakie wywołała przedwczesna śmierć Asnyka, przytoczę tutaj kilka wyjątków z tygodnika „Biesiada Literacka“ z sierpnia 1897 r.

„I znów żałosny jęk dzwonów, jęk, który echem bolesnem popłynął od szczytów Tatr, wszerz i wzdłuż, aż do jezior kaszubskich, który odbił się wszędzie, dokąd sięga mowa polska — obwieścił nam, że nowa pomiędzy nami powstała szczerba i że znów matka nasza, ziemia, po jedno z najlepszych swoich dzieci zimne wyciągnęła ramiona. Trudno nie boleć, trudno się nie żalić, że Stwórca Przedwieczny zabiera z grona naszego człowieka niezłomnego charakteru i wielkiego serca wtedy, kiedy i tych charakterów, jak łza czystych, i tych serc, zdolnych ukochać miliony, tak bardzo nam potrzeba.

Śp. Adam Asnyk, którego pieśni podnosiły ducha, krzepiły nadzieję, chłostały w potrzebie wady i ułomności, wywoływały uśmiech czasami, a zawsze padały, jak rosa ożywcza, nie dożył sędziwego wieku, chociaż siwizna przyprószyła mu głowę, a lata wyorały bródy na myślącym czole. Mógł jeszcze pracować długo bo w wątłej skorupie cielesnej był duch, który rwał się do czynu, bo w piersi zbolałej biło wielkie serce. Nie była mu daną dłuższa wędrówka, ukórzmy się przeto przed wyrokiem Niebios i utulmy łzę, gwałtownie cisnącą się do oczu.

Bez granic

Potoki mają swe łoża
I mają granice morza
Dla swojej fali;
I góry, co toną w niebie,
Mają kres dany dla siebie,
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka,
Wciąż w nieskończoność ucieka —
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie —
I wierzy, że w swoim łonie
Przestrzeń i wieczność pochłonie
I niebo całe ogarnie.

Adam Asnyk.

Ziemia, którą tak bardzo, tak szczerze ukochał, lekką mu będzie, a Stwórca, do którego „z uspokojeniem po przebytej męce“ wyciągał „u stóp Krzyża“ ramiona, miłosiernie spojrzy na swoje dziecię.

„A ty mnie przecież nie opuścisz, „Chryste!“ Tak wołał ten człowiek wiary głębokiej i miłości serdecznej, człowiek, który, czy jako liryk, czy dramaturg, czy członek społeczeństwa, zawsze rządził się tak, że o nim możnaby powiedzieć z autorem „Skarg Jeremiasza“:

„Krajowi ślubowałem i strzymał swój ślub!“

Znamienną cechą usposobienia Asnyka było pragnienie wiedzy, pamięć zdumiewająca i łatwość przyswajania sobie wyników nauk. Wielki poeta nigdy nie był obojętnym dla czegokolwiek, co ludzkość obchodziło. Nawet podczas ostatniej choroby sam czytał lub czytać sobie polecał ważniejsze wiadomości z kraju i zagranicy, miesięczniki literackie i dzieła wybitne. Żądza wiedzy, wnikanie w twórczość, badanie jej objawów, rozwiązywanie zagadnień kierowały nim w zamiłowaniu dzieł sztuki w ogóle i teatru. Z autorów greckich, którzy silny wpływ wywierali na ukształcenie jego talentu, wyróżniał nie tylko poetów, ale także dramaturgów. Jak przy tym był skromny, dowodzi okoliczność, że mimo, iż zewsząd słyszał słowa uznania, nie wychylił się z poza pseudonimu El...yego, i dopiero na ostatnim tomie poezyj nazwisko położył“.

Na zakończenie podam kilka wyjątków z poezji Asnyka. Czyż nie pełne swoistego uroku jest wierszyk:

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dzieweczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakąś piosnką świeżą, nową,
Każdy uśmiech był melodią,
Śpiewem było każde słowo.

A teraz przytoczę wiersz bardzo w obecnych czasach aktualny:

Jesteś wielkim człowiekiem, bądź nim, gdzie należy,
Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej odzieży,
Bierz za przykład Jowisza, co choć gromowładny,
W dom śmiertelnych przychodził grzeczny i układny,
Nie chcąc zbyt żywym blaskiem olimpijskiej chwały
Razić biednej ludzkości wzrok niedoskonały.
Więc i ty, kiedy schodzisz w towarzystwo ludzi,
Nie bierz ze sobą gromu, który postrach budzi,
Nie przynoś orlich spojrzeń, tytanicznych postaw,
Lecz wielkość z kaloszami w przedpokoju zostaw!

Nie długo przed śmiercią pisał poeta, że

Wszystko przemija! Nawet ból i smutki.
I kiedy człowiek swego kresu blisko,
Spokojniej patrzy z swojej wątłej łódki
Na wściekłość burzy i fali igrzysko,
Inaczej sądzi sen żywota krótki
I walk namiętnych niknące zjawisko...
Serca nie szarpie rozpaczy mu żmiją,
Bo już do brzegu cichego dobija.

Ażeby uzupełnić to krótkie wspomnienie o Asnyku, muszę dodać, że oprócz poezyj napisał on jeszcze powieść pod tytułem: Panna Leokadia“, dramaty: „Cola Rienzi“ oraz „Żyd“, komedie: „Gałązka heliotropu“, „Walka stronnictw“, „Przyjaciel Hioba“, „Komedia konkursowa“ oraz „Bracia Lerche“ i wiele innych.

Mieczysław Dunin Borkowski.

cztery M", szczegółowy plan kampanii, po czym wyruszył w dniu 13 lutego 1867 roku, zaopatrzony w pieniądze dla potrzeb armii, uzyskane ze sprzedaży swych sreber i klejnotów.

W drodze następuje spotkanie z sekretarzem Blasio, przybyłym wprost z Miramar, który przywozi zatrważające wiadomości o cesarzowej Karolinie. Maksymiliana ogarnia desperacka rozpacz. Ponieważ niczego już nie można spodziewać się w Europie, trzeba z tym większym wysiłkiem realizować swe zadanie w Meksyku, trzeba przede wszystkim ustalić jak najprędzej niepewną sytuację cesarstwa. Zreorganizowana armia posuwa się forsownym marszem do Queretaro, gdzie sztab główny postanawia oczekiwać przeciwnika.

W Miramar nic się nie zmieniło. Karolina całkowicie izolowana i zamknięta w jednym pokoju, krąży w nim jak lew w klatce. Czyż jest rzeczywiście tak obłąkana, jak mówią wiedeńscy lekarze i zbiry z Hofburgu? Nie jest to całkowicie pewne. Karolina uległa jedynie silnemu wstrząsowi umysłowemu, co postarano się wykorzystać przeciw niej.

Dwór belgijski nie podziela zdania potentatów Austrii, twierdząc, iż cesarzowa przeżywa tylko głęboką depresję nerwową i jest niesłusznie prześladowana. Wszyscy, którzy się z nią stykają, stwierdzają jednogłośnie logiczny bieg jej myśli". Królowa Maria Henryka po przybyciu do Miramar skonstatowała osobiście wielką krzywdę, wyrządzaną Karolinie, a z listu jej, datowanego 16 lipca 1867 r., wynika jasno, iż ci, co kochali Karolinę w Belgii, mieli zawsze poważne wątpliwości co do jej obłędu i wiedzieli doskonale, że losem nieszczęśliwej cesarzowej kieruje okrutna ręka Franciszka Józefa.

Królowa pisze w swym liście do wicehrabiego Conway'a:

„Trudno mi uwierzyć w obłąkanie Karoliny, hrabia Flandrii i trzej lekarze potwierdzają to bezapelacyjnie, lecz musiałabym skłamać, gdybym powiedziała, iż daje ona tego choćby najmniejsze dowody. Nie. W ciągu pięciu kwadransy rozmawiała ze mną tak rozsądnie jak każdy normalny człowiek; mówiła ze wzruszeniem o śmierci Leopolda I, o swej matce i t. d. Wcale się nie zmieniła, ma w sobie tylko pewną melancholię, która jednak się rozprasza, gdy zaczyna mówić o przeszłości i o Belgii. W czasie naszej rozmowy roześmiała się parę razy. Oświadczyła mi wreszcie z westchnieniem: „Zamykam się tu, gdyż Max tego chce i muszę go tu oczekiwać. On jest tam osaczony i wskutek tego nie możemy mieć od niego żadnych wiadomości."

Trudno myśleć o tym straszliwym dramacie bez wysuwania jak najgorszych hipotez, które logicznie wiążą się z istotną prawdą. Zbrodnicza ręka pchnie tę niezwykłą kobietę w wieczną ciemność, jaka będzie ją zwolna ogarniała, w jakiej będzie tonęła bez żadnego ratunku, bez nadziei ocalenia. Trudno nie wstrząsnąć się na myśl o tych podłościach, o tych oszukańczych kłamstwach, o tej bezwstydnej eksploatacji wielkiego ducha, o tym poniżającym upodleniu, które ściąga szlachetną duszę człowieka do poziomu najgorszej bestii ludzkiej.

Wniosna 1867 roku przyniosła Europie upalne dni. Paryż zapowiadał uroczyste otwarcie Wystawy Światowej, prasa pisała o powrocie wojsk z Meksyku i o rychłym przybyciu generała Bazaine.

Po klęsce pod Sadową dualizm austriacko-węgierski szukał jakiegoś ugodowego rozwiązania za pośrednictwem pięknej cesarzowej Elżbiety, którą łączył nadzwyczaj serdeczny stosunek z węgierskim magnatem Andrassy. Nikt nie wspomina o więźniu w Miramar. W styczniu 1867 r. cesarzowa Sisi, nudząca się w lasach Laxenburgu, zostaje gwałtownie wezwana do Szwajcarii, gdzie siostra jej Matylda, małżonka hrabiego Luisa de Trani, powiła dziecko. Cesarzowa w samotności marzy godzinami na brzegu jasnych wód głębokiego jeziora. W jakiś czas potem umiera żona jej brata Karola Teodora, księcia saskiego i oto znowu długa podróż, która opóźnia o kilka tygodni oficjalny wyjazd pary monarszej na ziemie Madziarów.

Magnaci węgierscy organizują wspaniałe kawalkady, by uczcić koronację ukochanej cesarzowej, a kilku wiernych przyjaciół postanawia jej ofiarować piękną posiadłość w Gödölö, gdzie tak miło polować i galopować w rozległych lasach.

W Bawarii poczciwi mieszczanie gromadzą się wieczorami z porcelanową fajką w ustach przy ogniu kominka i rozprawiają o niespokojnym i nużącym życiu ich pięknego króla Ludwika II. Król rozstał się już z Wagnerem i pod wpływem wyrzutów sumienia z powodu swych anormalnych namiętności począł coraz częściej odwiedzać pałac w Possenhofen. Co rana osiem białych koni w bogatej uprzęży, ciągnie pozłacaną karocę, w której jedzie młody król, rozmyślający o tym nowym porywie namiętności, wykwitającym w jego słabym sercu.

Czyż to możliwe, aby mógł zupełnie zapomnieć o pieszczotach Wagnera i swego dojeżdżacza? Czyż to możliwe, aby król Ludwik II zakochał się naprawdę w dwudziestoletniej Zofii, której piękne zamglone oczy przypominają tęskne spojrzenie jej siostry Sisi, cesarzowej Austrii?

Wszystkie serca w pałacu Possenhofen są pełne nadziei! Dobroduszny książę Max przebywa rzadziej w towarzystwie swych małomiasteczkowych przyjaciół i staranniej się ubiera. Może córka jego zostanie królową Bawarii? Jego m[illegible]żonka, księżna Ludwika jest szczęśliwa i dum[illegible]każ radość i pomyślność dla książęcej rodzi[illegible]dna z córek — cesarzową największego w[illegible] imperium, druga — stanie się przez to mał[illegible]równie potężną jak jej siostra królowa N[illegible]Ogólną radość zaćmiewa nieco myśl o tym[illegible]ie Ludwiku, który wszystko poświęcił dla pięknych oczu aktorki, lecz pod wpływem nowych nadziei wspomnienie o tym brzydkim mezaliansie powoli się zaciera.

Król Ludwik II przebywa w swym romantycznym pałacu i marzy o ukochanej. Co dzień posyła jej przez specjalnych posłańców stubarwne bukiety róż, osobiście zerwane w wspaniałych cieplarniach pałacowych. Wreszcie porwany jakimś chorobliwym niepokojem, budzi w nocy 27 stycznia swą matkę i w melodramatycznej scenie błaga przerażoną królową o pomoc i wstawiennictwo, po czym wysyła ją o szóstej rano do Possenhofen z prośbą o rękę Zofii, którą wkrótce jednak opuści, opętany ponownie przez niesamowitą namiętność.

Tego samego dnia Maksymilian, przebywający w Zacatecas, prowadzi ożywioną dyskusję z generałem Miramon. Generał usiłuje przekonać cesarza o konieczności opuszczenia miasta, lecz nadaremnie. W kilka dni później Miramon zostanie pobity i Maksymilian będzie zmuszony skierować się do Queretaro, gdzie przez dłuższy czas będzie stawiał opór nieprzyjacielowi.

W tym samym czasie w Brukseli urzędnik stanu cywilnego sporządza świadectwo urodzenia dziecka nieznanych rodziców, które tegoż dnia przyszło na świat w tajemniczych okolicznościach w domu na rogu ulicy Grad Cerf i Placu Waterloo. W akcie, spisanym na mocy nie wiadomo czyjego zeznania, dziecko płci męskiej otrzymało imię Maksymiliana.

Co powiedziano Karolinie, przebywającej wciąż jeszcze w Miramar? Na mocy jakiego tajemniczego układu Hofburg zgodził się, by dwór belgijski zajął się nowonarodzonym? Czy oznajmiono nieszczęsnej matce, iż dziecko jej umarło, iż musiało umrzeć, i czy nie to właśnie strąciło jej umysł w ciemność?

Czy dowie się, zanim opadnie na nią ponura noc niepoczytalności, iż następca tronu Meksyku, który ma również doniosłe prawa w dynastii Habsburgów, będzie czy to w Brukseli, czy też gdzieindziej tylko biednym opuszczonym dzieckiem, otoczonym tajemniczą opieką wysokich osobistości? C.d.n.

TADEUSZ RAWICKI

Filozof

NOWELA

Ktoś siedzący wieczorem przy stole, który z braku biurka to ostatnie doskonale zastępuje, a nawet nie ma różnicy. Jedynie może ta, że bardziej przystoi pisać na stole, niż na przykład podać na biurku kolację.

Stół, — sama nazwa wskazuje, że można wszystko na nim postawić. Przeciwnie jest z biurkiem. Postawisz szklankę z gorącą herbatą, to zaraz odcisk spodeczka, idealnie wykrojone kółeczko, pozostanie na wieczną pamiątkę.

Ten ktoś trzyma w dłoni pióro, nawet nie wieczne, ot, zwykłą stalową stalówkę, umazaną czarnym atramentem. Arkusz papieru biały, bielusieńki czeka i pióro czeka...

Ręka zawisła groźnie nad stołem, bo pióro potrafi być groźne, gdy zbryzga czarną krwią atramentu biel arkusza i nakreśli litery.

Ręka prowadzi pióro, ręką kieruje myśl, a myśl jest wiotka i ścigła, nieograniczona w swym zasięgu[illegible].

Nieogranicz[illegible] Nie ma granic, nikt nie stoi na stra[illegible]t nie powie: dalej nie wolno. Chy[illegible]nie.

— Tak, [illegible], sumienie to dobrze wyćwiczony[illegible].

Dopiero te[illegible]yryl spostrzegł zbliżającego się ode drzwi kolegę.

— Serwus, no i co? Jak widzę zabawiasz się w filozofa Cyrylu? Gdyby to wiedzieli koledzy miałbyś się z pyszna. Na szczęście dotąd nie wiedzą.

Cyryl zadrżał lekko. To powiedzenie prawdy uderzyło go jak piaskiem w oczy. Prawda, że pasjami lubił te szare godziny rozmyślań, zastanawiał się, analizował, ale czynił to w największej tajemnicy. Aż tu nagle jego bliski kolega wyczytał mu z myśli, jak z kart.

Cyryl postanowił się bronić. Nie może dopuścić do tego, żeby go w szkole nazwali filozofem. Przed chwilą Kusieliński pierwszy go tak nazwał, a Kusiel był specem od nadawania przezwisk. Jeśli piśnie choć słówko do kolegów, Cyryl zostanie na zawsze klasowym „filozofem".

— Ee, Kisielu, daleko mi jeszcze do filozofa. Zamyśliłem się, szara godzina, jakiś dziwny nastrój.

— Naturalnie znowu wykręty. Jesteś takie małe, niewinne bobo, więc nie dziwię się, że przed chwilą palnąłeś głupstwo.

— Tak, ty! Będąc sam, miałeś pole do działania.

— Nic nie rozumiem.

— Dziwne, że nie pamiętasz własnego sam na sam? Tu w pokoju nie było nikogo prócz ciebie, a wyraźnie słyszałem dialog. No, przypomnij sobie...

— Chyba rozmawiałem sam ze sobą.

— A właśnie o to mi chodzi. Myślałeś głośno, a to źle. Są myśli, które nie mogą ujrzeć światła dziennego. Ich zrealizowanie lub choćby ujawnienie byłoby szaleństwem. Myśl jest gotowa na wszystko, ale brak odwagi i zdecydowania. Wyrok jest, ale... nie ma kata.

Powiedzmy pokochałeś w myśli jakąś kobietę. Myśl za nią szaleje, pieni się, ale nigdy w życiu nie odważysz się wyznać tej kobiecie miłości. Będziesz cierpiał, a nie powiesz, dlatego, że np. ta kobieta jest z wyższych sfer, nie zwraca na ciebie najmniejszej uwagi, jej oczy zapatrzone są w inny punkt. Sama myśl pokochania tej kobiety jest utopią.

Po co cierpieć, skoro serce można znaleźć gdzieś bliżej? Po co siedzieć po ciemku, nie widząc się wzajemnie, choć obok jest kontakt elektryczny? Wystarczy tylko rękę wyciągnąć i przekręcić.

— O, tak!

KONIEC

HELENA BYCHOWSKA

Zjednoczenie

NOWELA

Z karabinem i płaszczem na ramieniu, idą dwaj w kolumnie. Requete jest brodaty i silny. Falangista prawie dziecko. Wchodzą po ścieżce prowadzącej na wzgórze, gdzie co chwila wznoszą się wachlarze dymu po wybuchu pocisków. Pachnie prochem i ojczyzną...

Requete: — Skąd jesteś?

Falangista: — Z Kastylii. Ziemia tam twarda i szorstka, lecz niebo z błękitnego jedwabiu. A ty jesteś z Nawarry?

Requete: — Z Nawarry. Z gór. Są tam łąki zielone... i zielone rzeki... Rzeki kryształowe, pełne łososi... Jestem synem karlisty, wnukiem karlisty i prawnukiem karlisty.

Falangista: — Ja jestem najmłodszym towarzyszem José Antonia.

Requete: — Było to w lipcu — miesiącu czereśni... i drzewa wtedy rodziły owoce...

Falangista: — Było to w lipcu! Kastylia cała rozżarzona. I nawet zboża wtedy podniosły znak strzały...

Requete: — Berety, berety i berety...!

Falangista: — Jak drżało z radości serce ukryte pod triumfalną koszulą! Ptak nie czuje się szczęśliwym w błękitnym niebie...

Requete: — Mocne mam piersi i rękę pewną i nogi me idą wytrwale na bój. Niosę w sobie wspomnienie Nawarry. Jestem synem karlisty, wnukiem karlisty i prawnukiem karlisty.

Falangista: — Wszystkie oblubienice w Hiszpanii wyszywały strzały. — Wszystkie! Moje wyhaftowano dziś w wieczór... Jestem najmłodszym towarzyszem José Antonia... Jesteś żonaty?

Requete: — Tak.

Falangista: — Masz dzieci?

Requete: — Tak.

Falangista: — Ja nie mam nikogo. (Śpiewa):

Jak dobrze się idzie na wojnę,
Jak dobrze się idzie,
Nie mając matki, ni narzeczonej,
Jak dobrze się idzie!

Requete: — Jeżeli padniesz — komu chcesz, abym powiedział?

Falangista: — Nikomu. (Patrząc w niebo). Dowie się o tym natychmiast Pan Obecnych... A jeżeli ty umrzesz?

Requete: — Powiedz o tym José Marii Hernandorena, lat sześćdziesiąt pięć, lub Tercio de Montejurra — to mój ojciec.

Falangista: — A... jeżeli go... nie będzie?

Requete: — Powiedz o tym José Marii Hernandorena — piętnaście lat. To mój syn.

Falangista: — (Śpiewa)

Jak dobrze się idzie na wojnę
Jak dobrze się idzie...!

(Świszczą kule).

Słuchaj Requete, stań za mną. Ma żonę i dzieci. Ja nie mam nikogo. (Śpiewa):

Nie mając matki ni żony,
Jak dobrze się idzie...

Requete: — Idę przodem. Ty jeszcze nie znasz. Jesteś dzieckiem.

Falangista: — Oh, zostaw mnie w spokoju!

Requete: — Jest lipiec — miesiąc czereśni...

(Świszczą kule).

Falangista: — Strzały świeże, strzały dnia dzisiejszego idą ze mną w bój! Któraż z kul nieprzyjaciela pragnie najmłodszej piersi Falangi?...

Requete: — Padnij na ziemię, pomyśl o matce!

Falangista: — Nie mam jej! Kto teg chce? Kto tego pragnie? Strzelajcie, panowie, strzelajcie! Zobaczymy, kto pierś mą zdobędzie? W nagrodę otrzyma śliczny złoty medalik...

(Pada ranny).

Requete: — Krwawisz bardzo...

Falangista: — Już jest nagroda gotowa dla nieprzyjacielskiego caballero...

Requete podnosi Falangistę, bierze go na plecy. Kule świszczą wokół. Po pewnym czasie Requete pada na ziemię razem ze swym towarzyszem).

Falangista: — I ciebie również zranili... Dzielny jesteś!

Requete: — Nie zapomnij!...

Falangista: — José Maria Hernandorena.

Requete: — Sześćdziesiąt pięć lat...

Falangista: — Tercio de Montejurra...

Requete: — A jeżeli go nie będzie?

Falangista: — José Maria Hernandorena.

Requete: — Piętnaście lat...

Falangista: — Tercio de Montejurra...

Requete: — Żegnaj mały... Jesteś wielki!

Falangista: — Arriba España! (Powstań Hiszpanio!)

(Pierwszy brzask poranka, różowy jak perła oświetla dwa trupy, trwające w bratnim uścisku).

Jazda na popularnych u nas „hulajnogach" zaczyna za granicą nabierać cech sportu. Na zdjęciu start dziewcząt do zawodów w szybkości jazdy.

W. PERSICH

Brink gra w „Ponurej Piwnicy"

Przełożył H. Lindemann

Ludzie wielkiego miasta są dziwni: posiadają dźwiękowe kinoteatry, marmurowe sale balowe, w których znajdują się miękkie fotele, a jednak żądają czegoś innego. Największą popularnością cieszą się obecnie małe, skromnie lokale, położone poniżej poziomu ulicy, zapełniające się od razu z powodu swej szczupłości. Urządzenie tych lokali nie może być wykwintne: zamiast stołów beczki, zamiast foteli ławki drewniane, zamiast wspaniałych świateł elektrycznych, zwykłe lampy naftowe.

Można się z tego śmiać. lub uważać to za wybryk, ale właśnie dlatego Arnold Brink otrzymał wcale niezłą posadę. Był zresztą zmuszony zgodzić się, gdy mu zaproponowano wygrywanie na fortepianie najnowszych przebojów w „Ponurej Piwnicy", codziennie od godziny dziewiątej, do drugiej w nocy. „Ponura Piwnica" zresztą była w tym czasie najmodniejszym, najwytworniejszym i najdroższym lokalem.

Gdy zagrał wydawcy sonatę, swojej kompozycji, ten nagle przystanął przed nim, zrzucił nuty sonaty i postawił mu przed nosem zbiór najnowszych przebojów tanecznych.

— Niech pan to gra — rzekł władczym tonem. — Szybko... szybko... Ten pański na poły klasyczny kawałek działa usypiająco. Ale zato ma pan świetne wyczucie rytmu, jest pan ponadto bardzo przystojnym i zgrabnym blondynem.

Wściekły i zdenerwowany zaczął bębnić w biało-czarne klawisze. Grał coś, co się nazywało „Mów mi o swej miłości", czy też „Miłość toreadora"...

— Hm, rzekł na zakończenie wydawca, to jest dla pana pole do popisu. Przez parę lat bębnił pan w konserwatorium Mozarta, Beethovena, może Pfitznera i ten cały kram poważnej muzyki. Przecież pan nigdy nie dorobi się jako muzyk, chyba, że pan jeszcze zawczasu przejdzie na inny temat. Nie ma pan środków do życia obecnie, gospodyni wyrzuca pana na bruk, było by źle z panem, gdyby... gdyby nie ja, Pester, wydawca dzieł muzycznych, który już niejeden talent postawił na nogi. Pester poznał jeszcze w samą porę pańskie właściwe uzdolnienia. Mój przyjaciel otwiera dziś lokal, „Ponurą Piwnicę". Pianista, którego zaangażował uległ wczoraj wypadkowi samochodowemu — w całym mieście nie można znaleźć następcy. Dlaczego więc nie miałbym pomóc młodemu człowiekowi, który już czuje nóż na gardle!

— Przepraszam, ośmielił się wtrącić Brink, nie mam smokinga. Ten szary garnitur, który mam na sobie, jest moim jedynym...

— Panie! Czy pan nie jest człowiekiem dwudziestego wieku?!

Gruby wydawca podszedł do niego i odpiąwszy mu guziki mankietów przy koszuli, zawinął rękawy do łokci.

— Tak! Tego rodzaju typ włada światem — rzeczowy, niedbały, a mimo to elegancki. Spodnie na pasku, koszula sportowa bez krawata, pulower. Tak pan będzie grał. Nuty dostanie pan ode mnie na kredyt. Teraz pojedziemy do mojego przyjaciela i zrobimy próbę.

— o —



Arnold Brink nazywał się obecnie Arn Brink. Tak przynajmniej głosiły afisze i gazety.

„Przy fortepianie Arn Brink, genialny śpiewak i wykonawca przebojów tanecznych".

Początkowo oponował, twierdząc, że nie ma wyszkolonego głosu, jednak gdy przyciśnięty do muru odśpiewał jedną piosenkę, wydawca oświadczył:

— Przecież nie ma pan śpiewać aryj operowych. Trzeba tylko robić nastrój — dobry humor, lub też dla odmiany coś namiętniejszego. Zgadza się pan? Dwadzieścia blatów za wieczór — cztery tygodnie na próbę.

— o —

Cztery tygodnie! Móc spłacić wszystkie długi, a ponadto żyć jeszcze bez kłopotu przez miesiąc — Brink nie mógł się oprzeć. Siedział więc teraz każdego wieczoru w „Ponurej Piwnicy", naciskał pedały, uderzał w klawisze, a spod palców jego wymykały się błyskotliwe glissanda; ryczał wesołe piosenki, szeptał czułe rytmy, zależnie od życzenia gości. Na parkiecie tak małym, że z trudnością można się było na nim obrócić, tańczyło tuzin par, które oklaskami domagały się dalszej gry, gdy tylko przestawał grać.

„Młody ten człowiek — pisała nawet pewna gazeta — jest czymś więcej niż pianistą, grającym do tańca. Posiada dobrze wypielęgnowany talent muzyczny i wdzięczną zdolność reprodukcji. Można go słuchać długo, a zawsze ma się wrażenie, że słyszy się coś nowego..."

Mimo, że „Ponura Piwnica" była znaną ze słonych cen i przez to dostępną tylko dla niewielu ludzi, to jednak co wieczór lokal był przepełniony. Z czterech tygodni pobytu Brinka zrobiło się osiem, z ośmiu tygodni trzy miesiące i jeszcze więcej. Lecz Brink nie był szczęśliwy, mimo tak zawsze wesołego otoczenia.

„Każdy w życiu zrobić musi głupstwo.." bębniły jego palce po biało-czarnych klawiszach. Brink rozmyślał o swych snach, o straconych nadziejach i zadymionej i głośnej rzeczywistości tego lokalu, w którym po prostu „odstawiał" robotę tak, jak wyrobnik. Sądził początkowo, że w ciągu dnia dosyć będzie miał czasu do pracy nad własnymi kompozycjami, a ponadto oglądał się za posadą w jakimś większym zespole orkiestrowym. Lecz w ciągu dnia czuł się przemęczony. Wstawał dopiero około południa. Realizował na razie swoje mniejsze lub większe potrzeby: zamówił ubranie, kupił patefon walizkowy z serią płyt słynnych muzyków, ażeby chociaż u siebie w domu posłuchać dobrej muzyki. Na zimę potrzebował płaszcza. Z każdym tygodniem wyłaniały się nowe potrzeby. Pieniądze, które początkowo wydawały się tak ponętne, po prostu uciekały z kieszeni.

„...szczęście przyszło do ciebie..." musiał grać w tej chwili. Tak — szczęście! Na imię jej było Ela, była blondynką, o cudnych, ciemnych oczach. Pocieszała go, gdy był smutny, śmiała się, gdy jej opowiedział swoje perypetie przed uzyskaniem posady — słowem, stała się jego towarzyszką. Była pokojówką w tanim pensjonacie i dużo przykrości znosiła od dziwacznych i wprost złych ludzi, którzy tam wyładowali. Wszyscy uwzięli się, by gorycz swej przegranej stawki życia wyładować na niej. Wszyscy już stracili nadzieję, by kiedyś się mogli wyrwać z jadalni tego pensjonatu przesiąkłego zapachem kapusty. Jeden z nich był kiedyś wielkim kupcem, a teraz pracował jako podróżujący, jedna z pań, dawniej śpiewaczka operowa, zmuszona była udzielać lekcyj śpiewu mało uzdolnionym, bogatym panienkom.

Ela również była dawniej czymś innym. Pracowała w biurze, dopiero po redukcji musiała jąć się pierwszej lepszej pracy. Lecz piękny uśmiech nie opuszczał jej twarzy.

„Jeżeli jestem zła na siebie, to życia sobie tym nie ułatwię", mawiała do niego. „Chciałabym kiedyś być, panie Arn, tam w lokalu wieczorem, kiedy wszyscy wokół pana się weselą. Lecz nie mogę wyjść, niestety! Matka moja choruje i muszę jej wysyłać cały mój zarobek, gdyż mała renta, jaką otrzymuje, nie wystarcza jej na potrzeby. Z tego też powodu nie mam nawet sukni, ażeby się gdzieś móc pokazać — wszystkie inne panie tak pięknie się ubierają.

— A gdyby pani miała sukienkę? — spytał.

— Skąd miałabym ją dostać? Zresztą dobrze, że jej nie mam. Któż by ze mną poszedł?

W niedzielę będziemy tańczyli, mój skarbie!... bębnił po klawiszach. Nie, nie w niedzielę. a w poniedziałek! Udało mu się uzyskać zwolnienie na ten jeden dzień. Musiał tyko postarać się o zastępcę, a mógł sam jako gość pójść do innego lokalu. Chciał pójść z Elą. Już sobie cały plan opracował w głowie.

Ela przyniosła mu śniadanie.

— Niech pan sobie wyobrazi, bo ja tego nie mogę pojąć! Otrzymałam pocztą



Wspaniały „wykop“ angielskiego piłkarza Bryn Jones'a, za którego wystąpienie na meczu jeden klub drugiemu zapłacił 8 tys. funtów szterlingów

sukienkę. Zaadresowano wyraźnie: Ela Handen, ulica, numer domu... Czy ja to mogę przyjąć? Kto mi to przysłał?

— Niech pani sobie nad tym głowy nie łamie. Może jakiś bogacz mieszkał tutaj w pensjonacie i słyszał o pani biedzie. Tacy ludzie miewają niekiedy kaprysy! Może on w życiu swym skrzywdził kogoś i chciał winę swoją okupić dobrym uczynkiem. Ale, wie pani, to się ślicznie składa: w poniedziałek mam wolny wieczór, może pójdziemy razem; pani w tej nowej sukni? Przecież trzeba ją odpowiednio uczcić — zgoda?

— Panie Arnoldzie, cieszę się ogromnie z tej propozycji, gdybym tylko wiedziała?

— Ciągle mi pani wbija w głowę: nie martwić się! A teraz pani sama zaczyna się martwić. Może ma pani jakiegoś bogatego wujaszka, o którym pani wcale nie wie. Może niedługo jakiś spadek się znajdzie...

Ela spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale ażeby wpaść na domysł, że bon pochodzi od niego, na to była zbyt naiwna.

— o —

Zastępca Arna w ostatniej chwili doniósł, że ma do załatwienia ważną sprawę rodzinną i dlatego nie będzie mógł zastąpić Brinka. Arn klął. Zadzwonił do Eli, lecz zjawiła się jej koleżanka, która nic nie mogła wiedzieć o ich zamierzonej eskapadzie. Nie widział żadnej możliwości uwiadomienia Eli, zresztą był już największy czas pójść do „Ponurej Piwnicy“.

— Dobrze, że pan dzisiaj będzie grał, rzekł mu na wstępie gospodarz. Zapowiedziało się na dzisiaj większe towarzystwo z hotelu „Atlantik“.

Brink bez słowa usiadł przy fortepianie, rozłożył nuty i zaczął grać. Nie potrzebował przy tym myśleć. Działał, jak automat.

Całe towarzystwo weszło z ogromnym hałasem. Panie w sukniach wieczorowych, z brylantami na szyi i rękach, panowie w smokingach, z cygarami w zębach. Widać było po ich minach, że przychodzą z pierwszorzędnej restauracji, gdzie zjedli i wypili coś bardzo dobrego. Zaczęli przypijać do Brinka, posyłali mu cocktaile, panie usiłowały z nim flirtować, za plecami swych adoratorów. Podobał im się ten młody, przystojny blondyn.

Jemu nagle opadły ręce. Opadły, jakby były z ołowiu. Z fortepianu wydostał się przeraźliwy, fałszywy akord. Arnold Brink utkwił spojrzenie w stronę garderoby, gdzie świeżo przybyli goście składali swe okrycia. Zamajaczyła mu blond główka Eli — poznał ją od razu. Przyszedł z nią jakiś pan dostatni, pewny siebie, oczywiście bogaty, z cygarem w zębach.

Wszyscy zwrócili oczy na Brinka. Właściciel lokalu znalazł się zaraz obok niego.

— Co pan robi? Graj pan! Czy panu niedobrze? Niech się pan opanuje. Nie psuj mi pan wieczoru. Przyślę panu dobrej kawy. Po następnym tańcu zrobi pan półgodzinną przerwę i zaczerpnie pan nieco świeżego powietrza.

Arn opanował się. Zdało mu się, że jakaś lodowata dłoń uchwyciła go za gardło i ściska je tak, że tchu złapać nie można. Grał jednak dalej, nawet gdy Ela weszła z tym nieznajomym do sali. Była piękna, stokroć piękniejsza w wieczorowej sukni — jego sukni! Nie spojrzała nawet na niego. Ów gruby jegomość poprowadził ją do stołu, zajmowanego przez gości, „Atlantiku“. Ogólne przedstawianie i przesuwanie się. Arn nie mógł tego pojąć. Walił, jak opętany w klawisze. Pot spływał mu z czoła, a on grał i grał. Nie chciał nic widzieć ani słyszeć!

W pewnej chwili błysnął mu przed oczyma kolor jedwabiu, z którego sporządzana była suknia. Czy chciała go swym spojrzeniem prosić o przebaczenie? On — on musiał pracować — a ona bawiła się z innym w sukni, którą on kupił, by z nią pójść się bawić. Ona bawiła się z innym, w dniu, w którym on myślał urządzić sobie dzień uroczysty. Była na tyle bezwstydna, że pokazywała mu się na oczy.

„... szczęście zapukało do twych drzwi...“ szczęście pozorne, kłam, obłuda — siedział tutaj, stracił swoje marzenia, marzenia najpiękniejsze! Sądził, że obecnie mógłby zebrać tyle pieniędzy, by móc się ożenić. Spytałby następnie Eli, czy zechciałaby zostać jego żoną. On zostawiłby sztukę dla sztuki i poniżyłby się, ażeby spełnić wszystkie jej życzenia, wyczytane z cudnych oczu.

Nie zauważył, że gospodarz zbliżył się do niego.

— Państwo życzą sobie przerwy, panie Brink. Czy chce się pan czegoś napić, czy też pójść na przechadzkę?

Bez słowa powstał i wyszedł.

—o—

Gdy po pół godzinie powrócił, zawsze jeszcze smutny, chociaż nieco uspokojony i odświeżony, wyrażono życzenie, aby zagrał balladę as-dur Szopena. Nie przebój? Nie tango i nie foxtrott, tylko właśnie jego ulubiony utwór, cudowny, grany aż do bólu.

Dopiero teraz zauważył, że towarzystwo stopniało do trzech osób, została mianowicie Ela, grubas i młodszy pan, który z nią tańczył. Patrzyła na niego tym swoim szczerym, jasnym spojrzeniem, które tak lubił — nie troszcząc o tych dwóch innych. Arn nie wiedział, co o tym sądzić. Czy rzeczywiście prowadziła grę zupełnie otwartą, nie robiąc tajemnicy ze swych znajomości, nie biorąc pod uwagę tych „kanarków“, jak pogardliwie nazywał młodzików.

Rozbrzmiały pierwsze, ciche tony i skoro tylko ucho jego pochwyciło ich czar, zapomniał o „Ponurej Piwnicy“, o jej sztucznej prostocie, o beczkach, o elektrycznych żarówkach, umieszczonych w zwykłych lampach naftowych. Czar muzyki tysiąca snów wziął go w swe posiadanie — po długim znów czasie znalazł się pod czarem cudnej melodii. Pozwoliła mu ona zapomnieć o troskach codziennych. Przynosiła ukojenie i wybaczenie.

—o—

Nie śmiał spojrzeć na milczącą salę, gdy zakończył. Cóż miał teraz zagrać? Bezmyślnie dotknął trzech czy czterech klawiszy — mimo woli wypłynęła spod jego palców sonata, którą grał owego wieczoru temu wydawcy, który go tutaj posadził. Bezwiednie grał tę swoją kompozycję i zapomniał o otaczającej go rzeczywistości. Utonął we wspomnieniach przeszłości, która już straciła dla niego wszystkie znamiona prawdopodobieństwa.

Jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu — ocknął się.

— Jest pan mistrzem, naprawdę! Czy wolno mi będzie uścisnąć pańską dłoń?

Stał przed nim ten grubszy pan z towarzystwa Eli.

— Nie chciałem wierzyć mej siostrzenicy!

— Pańskiej siostrzenicy? — Arn odezwał się jak człowiek ogłupiały zbiegiem wydarzeń. — Więc pan jest bogatym stryjem?

— Takim bogatym znowu nie jestem — zaśmiał się grubszy pan. — Ale proszę, niech pan pozwoli do naszego stolika. Chciałbym pana zapoznać z dyrygentem Jenkinsem, który jako mój doradca przybył ze mną z Ameryki, ażeby znaleźć parę artystów na tournée, którzy by stanowili nowy zastrzyk dla zmanierowanej plejady gwiazd w U. S. A.

— A mojej siostrzenicy długo musiałem szukać. Dopiero dzisiaj otrzymałem w hotelu Atlantik list od mej siostry w tej sprawie. Czy pan uwierzy, że moja rodzona siostra nie chciała wierzyć, że ja żyję? A przecież żyję, jak pan widzi!

Zaśmiał się, aż ściany „Ponurej Piwnicy“ zadrżały. Kelner wykorzystał to, by zjawić się z nową butelką wina. Pod obrusem Arn ujął rękę Eli, prosząc o przebaczenie. Jenkins krótko, po amerykańsku zaznajomił go z warunkami zaangażowania, które Arn miałby przyjąć. Brink potrzebował tylko spojrzeć w jaśniejące szczęściem oczy Eli, by zrozumieć, że zgodzi się ona na podróż na drugą półkulę. Jej niewypowiedziane „tak“ uradowało go jeszcze więcej aniżeli świadomość, że sny o przyszłości nie są złudnym tylko marzeniem.

KONIEC.

RAJ KOBIET



G 7063/64 Kostiumik z granatowej wełny, uzupełniony kamizelką w białoniebieskie lub biało-różowe pasy.

J 7030 Skromny jesienny kostium z miękkiej wełny.

J 7031 Wytworny popołudniowy kostium z błękitnego aksamitu lub delikatnej wełny.

J 7047/48 Sportowy pół długi żakiet z wąskim szalowym kołnierzem, sięgającym aż do końca żakietu.

We wszystkim stosujmy umiar

Zachowanie należytego umiaru jest zaletą bardzo cenną dla każdego człowieka. Niejednokrotnie przyczynia się ona do odpowiedniego ukształtowania się naszego życia.

Trzeba, niestety, ze skruchą wyznać, że często szczególnie kobiety grzeszą właśnie brakiem umiaru. Jakże często spotyka się na przykład przesadnie czułe matki, których troskliwość wyraża się w ustawicznej obawie, a co za tym idzie, w stosowaniu całej serii nakazów i zakazów. To nie jest mądra i racjonalna opieka, ale wieczne zmartwienie dla najbliższego otoczenia. Matka, tak przewrażliwiona, żyje w ciągłym niepokoju. Lada powiew powoduje obawę zaziębienia się dzieci, obcowanie z innymi dziećmi np. w szkole nastręcza powody do przypuszczenia, że dziecko zarazi się jakąś chorobą infekcyjną. Taka przesadna opieka matczyna roztacza się często i nad przygotowaniem lekcyj domu, które nieraz sama za dzieci odrabia, byle by tylko jej pociecha miała dobre stopnie. Później wyszuka córce męża, a synowi żonę w przeświadczeniu, że przez nią dokonany wybór będzie najlepszy...

Ta troskliwość obejmuje często i samego pana małżonka, który czuje opiekuńcze skrzydła swej połowicy od świtu do nocy. Nie wpływa to bynajmniej na rozjaśnienie atmosfery domowej, a przecież nigdy przymus nie działa bardziej zgubnie jak w dziedzinie pożycia małżeńskiego, które powinno polegać na poszanowaniu indywidualności i wzajemnym zaufaniu. Dzieciom również raczej szkodzi przeczulona opieka matczyna, wyrastają z nich przeważnie chuchra i zastraszone nieboraki.

Taka zbyt troskliwa i czuła matka i zanadto energiczna małżonka jest przeważnie przesadnie gorliwą panią domu i prawdziwym dopustem bożym dla swej pomocnicy. Miast miłej atmosfery, w której wszyscy domownicy czuliby się swojsko, stwarza się istne piekiełko.

Drobiazgowe i niecelowe najczęściej zajęcia zacieśniają taką gospodynię do kręgu naczyń i miotły, poza którymi nie ma po prostu czasu na potrzeby kulturalne, nie mówiąc już o zaniedbaniu własnej powierzchowności. Taka „zawołana" pani domu pragnęłaby w każdej dziedzinie prześcignąć samą siebie.

Weźmy na przykład oszczędność, która jest bezsprzecznie wielką zaletą, ale oszczędność tylko racjonalnie pojęta, z zastanowieniem się „na czym" i „kiedy" nie upośledzająca ciała kosztem ducha, ani odwrotnie.

Tymczasem w tej dziedzinie zbytnia gorliwość daje wyniki wręcz odwrotne do poczynań.

Przesada, tak ujemnie odbijająca się w każdej dziedzinie, daje się również zaobserwować i w dziedzinie mody. Wiele kobiet wiedzionych mrówczym pędem hołduje bezkrytycznie wszelkim nakazom mody, nie biorąc często względu nie tylko na własną osobę, ale i na kieszeń mężowską i stąd częste nieporozumienia, sceny małżeńskie i podminowanie stosunków rodzinnych.

Weźmy inny przykład: pani domu, która zbytnio hołduje towarzyskim przyjęciom, zbyt wiele osób do siebie sprasza, lub też sama za często u innych bywa. Pomijając już sprawę poważnego nieraz nadwyrężenia budżetu z powodu zbyt częstych przyjęć, dałoby się jeszcze niejedno powiedzieć o przesadzie i w tym kierunku.

Sumując, dojdziemy do wniosku, że przesada w czym by się nie przejawiała, jest stanowczo niepożądanym objawem. Starajmy się więc zawsze zachować należyty umiar, który umożliwi uniknięcie wielu niemiłych przykrości i wielkich zmartwień.

Królowa Farida walczy o prawa dla swych poddanek

Młoda królowa Egiptu, Farida, żona króla Faruka, jest nie tylko bardzo piękna, lecz odznacza się także dużą energią i inicjatywą.

Przed kilkoma dniami odbywała się w pobliżu Alekrandrii uroczystość poświęcenia pomnika, który odsłonił król Faruk. Według praw muzułmańskich wyznaczono królowej miejsce — nie obok króla, lecz w gronie jego świty. Ku zdziwieniu uczestników uroczystości zjawił się król Faruk bez żony, ta bowiem demonstracyjnie pozostała w pałacu, by nie brać udziału w ceremonii, w której wyznaczono jej nieodpowiednie miejsce.

Królowa Farida oświadczyła przy tej okazji, że jeżeli w Egipcie kapłani, mający wybitny wpływ na opinię społeczeństwa, nie zmienią swego zapatrywania na stanowisko i przywileje kobiety, ona, królowa, będzie stale protestowała w ten sposób, że nie będzie brała udziału w żadnych uroczystościach publicznych. Tę formę strajku uważa królowa Farida ze swej strony za konieczną w walce o poprawę stanowiska kobiety w Egipcie, gdzie jej siostrzyce są tak upośledzone, jak gdyby unosił się nad ich krajem duch średniowieczny.

Prasa egipska, zwłaszcza o podejściu lewicowym, podkreśla z uznaniem stanowisko królowej i jej siłę woli, zaś opinia publiczna solidaryzuje się z nią przeciw wstecznemu nastawieniu duchowieństwa. Panuje ogólne przekonanie, że królowa Farida, mimo swego młodziutkiego wieku zdoła swoją energią i stanowczością wywalczyć dla kobiet egipskich korzystniejsze prawa, które zrównają je z kobietami Europy.

Zaszczytne odznaki i dyplomy dla pracownic domowych

Związek Pań Domu przypomina paniom, iż od roku 1934 ustanowił i nadaje zaszczytne odznaki i dyplomy jednostkom, które w swej pracy pomocniczej w domu odznaczyły się dobrą wolą, uczciwością i pracowitością.

Pamiętanie o tym i podawanie do odznaczenia jest niezwykle ważne, ponieważ podnosi godność stanu pomocnicy domowej.

Okres 5 lat pracy w rodzinie uprawnia do małej odznaki brązowej. 10 lat — przysługuje większa odznaka brązowa. 15 lat — mała odznaka srebrna. 20 lat — duża srebrna. 25 lat pracy w jednym domu uprawnia do otrzymania złotej odznaki.

Do każdej takiej odznaki dołącza się dyplom.

Od lat 10 do 15 nagroda wynosi 130 zł. Od 15 — 20 wynosi 215 zł. Ponad lat 20 wysłużonych w jednym domu przynosi 427 zł.

Bliższych informacyj można zasięgnąć co do medali w lokalu ZPD (Nowy Świat 9), co do nagród pieniężnych w Zarz. Miasta Warszawy, Wydział Opieki Społecznej, Złota 74.

Dekorowanie i premiowanie pomocnic, zasługujących na uznanie, jest słuszne z punktu widzenia obywatelskiego. Stan ten bywa bez powodu niekiedy poniżany, a konieczność zestandaryzowania opinii względem jednostek szla-

chętnych z żywiołem przypadkowym i ujemnym rani ich ambicję. Toteż wyróżnienie uczciwych pomocnic domowych jest naszym obowiązkiem.

Pani Lindbergh pisze książkę

Jedno z wydawnictw amerykańskich zapowiada na połowę października rb. wydanie książki Anny Morrow-Lindbergh, żony pierwszego zdobywcy Atlantyku, p. t. „Listen! The Wind" (Uwaga! Wiatr...), której treścią będą dzieje wyprawy małżonków Lindbergh samolotem przez południowy Atlantyk, od brzegów Afryki do Brazylii, w r. 1933.

Wstęp do książki napisał płk. Lindbergh, który również wykonał trzy mapki i specjalną okładkę. Jak piszą wydawcy, już pierwsze wydanie liczyć będzie 50.000 egzemplarzy.

Złote brwi i rzęsy

Tegoroczna jesienna moda paryska wprowadziła niezwykłą inowację. Oto do sukien wieczorowych, zdobionych złotymi lub srebrnymi dodatkami, panie stosują złote i srebrne brwi i rzęsy.

Twierdzą one, że ta nowa moda jest nadzwyczajna i że należy do najbardziej wziętych. „Płeć brzydka" jeszcze nie zabrała głosu, zdaje się, że dla niej na ogół kwestia brwi i rzęs jest drugorzędna. W tej chwili są zadowoleni najwięcej właściciele składów kosmetyków. Interesy idą dobrze.

DOBRA gospodyni

Prawidłowe smażenie konfitur

Wrzesień — to okres owocobrania. W ogrodach, witrynach okien wystawowych i na straganach pełno obecnie jabłek, gruszek i śliwek, które wprost zapraszają do robienia zapasów zimowych. A zapasy te, to dla gospodyń rzecz niesłychanie ważna i każda powinna mniej lub więcej przyrządzić ich na zimę.

Ogólne zasady smażenia owoców przedstawiają się następująco:

1. Owoc powinien być doborowy, doskonale dojrzały, ale nie przejrzały i zerwany w dzień pogodny. Konfitury z owocu zbytnio nasiąkniętego wodą nie trzymają się dobrze.
2. Konfitury powinno się smażyć tego samego dnia, w którym owoc został zerwany.
3. Podczas smażenia konfitur nie powinno się gotować w kuchni nic o ostrym zapachu, ani również mięsa.
4. Naczynie do smażenia konfitur powinno tylko służyć do tego celu. Jeśli jest to niemożliwe, powinno już być na tydzień przed tym doskonale wygotowane i do niczego nie używane, aby miało czas doskonale wywietrzyć.
5. Najlepsze kształtem są naczynia płaskie o szerokim dnie.
6. Nie należy smażyć naraz owoców więcej, niż tyle, ile się w danym naczyniu może swobodnie pomieścić.
7. Owoce należy mieszać nową łyżką drewnianą, lub potrząsać naczyniem, aby owoc smażył się równo.
8. Gotuje się z początku na mocnym ogniu, a dosmaża na wolnym.
9. Szumować należy starannie, zbierając za każdym wrzeniem pianę.
10. Owoce są wtedy dobre, gdy sok jest już zupełnie czysty, a owoc przeźroczysty.
11. Słoje wymyte gorącą wodą i wytarte na sucho, wypłukać spirytusem, a owoc nie sfermentuje.
12. Przechowywać należy słoiki starannie owiązane papierem w suchym i wolnym od mrozu miejscu, wolnym od wszelkich zapachów.

Nabierać należy konfitury zawsze czystą łyżką i nigdy nie dokładać resztek do słoja.

Jeśli będziemy stosować się ściśle do tych prawideł, konfitury będą trzymały się dobrze.

TADEUSZ RAWICKI

Rzeka bez mostu

(Nowela).

Polna droga, zwykła i nie różniąca się od tylu polnych dróg całego świata. Długa, kręta wstęga, szara, gdyż taką jest najczęściej barwa ziemi, z rowami po obu stronach, w których w zimie śnieg najdłużej leży, za to na wiosnę pokryje je trawa i jakby zieloną wstążką oddzieli drogę od pól.

I wierzby! którzby nie spotkał starych, rozczochranych wierzb o korze omszałej i pooranej bróździami? którzby nie spotkał takich właśnie wierzb, rosnących nad polną drogą?!...

Trudno wyobrazić sobie polną drogę bez wierzb i wierzb bez polnej drogi. Wrosły głęboko w ziemię, zakorzeniły się i ziemia je — trzyma i żywi. Z niej czerpią pokarm i tylko dzięki niej żyją.

A gdy w zimie ziemia zamrze i skostnieje, to i one zamrą i skostnieją. Zsypną na ziemię swe długie, zeschłe liście, jakby chciały ziemi oddać to, co od niej wzięły. Potem śnieg je otuli, żeby do cna nie zmarzły i, żeby im weselej było w tej śnieżnej szacie.

I tak przetrwają do wiosny. Wtedy znowu poczują w żyłach krew i wychylą do słońca główki nabrzmiałych pączków. Rozwiną świeże listki i okryją się nimi dumnie.

Na drogę rzucą niezgrabne plamy cienia i na swych listkach zatrzymają wszystkie promienie słońca i wszystek żar. Nie pozwolą wyschnąć tej ziemi, której tyle mają do zawdzięczenia, obronią ją od spiekoty słonecznej i smagania wiatrów, gdyż wierzby są czułe i tkliwe. Złam choćby ich maleńką gałązkę a zaraz wytryśnie łza i poczujesz się jak wobec rozpłakanego dziecka, co bezsłownie zapytuje: po coś mnie skrzywdził?

Kochane, stare, przydrożne wierzby! Ileż to razy zmęczony wędrowiec szuka ich cienia, ich pnia dla oparcia pleców, ich słodkiej miazgi dla zwilżenia spragnionych ust?

A ilu takich wędrowców, ilu ludzi przeszło polną drogą od chwili jej powstania i ile wozów tędy przejechało? Ludzie przechodzą stale, jakby ich nigdy nie miało zabraknąć i wozy jadące skrzypią i koła, obracane w sypkim piachu, terkocą.

Są tacy, którzy wychodzą z domu równo ze wschodem słońca i idą tędy do pracy w polu. Wracają w południe na obiad i znowu idą na pole, ażeby wrócić dopiero wieczorem. I tych jest najwięcej.

Rzadziej pojawi się człowiek z daleka, obcy, nieznany. Nikt go tu jeszcze nie widział i on pierwszy raz ogląda te strony. Jego stopy wycisnęły na drodze ślad, ale wiatr je na powrót piaskiem zamuli. Obcy człowiek tu był, ale już przeszedł, podążył dalej, zniknął.

Przechodził tędy pierwszy raz i może ostatni. Nie będzie tędy wracał ani w południe, ani wieczorem — nigdy! Szedł, bo po prostu droga tędy prowadziła i wiódł go za rękę los.

Nie będzie tędy wracał ani w ogóle żadną inną drogą — nie wolno mu wracać. Musi iść stale naprzód. Nie może spojrzeć za siebie. To, co już przebył, znikło w mgle i wsie i miasta i osiedla — wszystko! Więc po co będzie zwracał ku temu tęskny wzrok? Nikogo tam nie zostawił, za nikim nie wzdycha i nie tęskni i nikogo z tych, którzy za nim zostali, nie wspomni.

Jest sam na świecie, sam kroczy i jedno tylko wie: nie wolno mu zrobić ani jednego kroku wstecz. Musi iść stale naprzód, chociażby góra stroma wyrosła na drodze i jeden z trudem postawiony krok, zepchnął go z powrotem o kilka kroków niżej. Musi piąć się pod górę dopóki nie wejdzie na wyniosły szczyt.

Wtedy będzie mógł spojrzeć za siebie, na drogę, którą przebył i zdziwić się: „zdawało się, że to niemożliwe, a jednak tu wszedłem".

Z rozkoszą położy się w cieniu rosnącego tam dębu, posili się, odpocznie i nasyci wzrok widokiem cudnego krajobrazu.

A potem łatwiej przebędzie drugie zbocze góry, biegnące w dół. Nogi raźniej pójdą a i usta, przedtem zaciśnięte, zanucą teraz coś wesołego.

Zdaje się, że ta stroma góra zatrzymała nagle wszystko i los okrutny, który wiódł za rękę wędrowca, i zmęczenie i trud i smutek, że po jej drugiej stronie zaczyna się inny świat, inny kraj i inne życie — lepsze. Dopóki znowu coś nie stanie na przeszkodzie.

Rzeka! Przecięła w poprzek drogę i płynie. Fale bulgocą, pienią się i z pluskiem obryzgują brzeg.

Wędrowiec przystanął bezradny — rzeka go zatrzymała, a on biegu wstrzymać nie może, chociażby chciał. Taka jest. Taka jest siła w tej płynącej masie wód, taka moc! Fale śmieją się z niego stojącego bezradnie na brzegu, obryzgują mu stopy i gotowe trysnąć kroplami w twarz.

O kilka kroków dalej spoczywa na brzegu jakiś człowiek. Słońce pali go w brązowy kark i w szerokie plecy, wychylające się z płótna koszuli. Nogi zwiesił nad rzeką i od czasu do czasu zanurza bose stopy w toń wody.

Wędrowiec zdjął obuwie z nóg i zaczął podwijać spodnie. Siedzący na brzegu usłyszał szmer.

— Chcesz się wykąpać? — zapytał z uśmiechem, zwracając się w tę stronę. — Nie radzę, woda zbyt chłodna, prąd wartki i głębia bez dna.

Wędrowiec nie przestał podwijać spodni.

— Alboż to dla kąpieli tu przyszedłem! — odparł. Chcę się przeprawić na drugi brzeg.

Siedzący przewrócił się na szerokie plecy, słońce zaświeciło mu prosto w oczy, więc przymknął powieki i zaczął się śmiać, aż echo poszło z biegiem rzeki.

— A to zuch z ciebie!... cha! cha! cha!... Widzisz, że tu nie ma mostu i chcesz się przedostać na drugą stronę? Ciekaw jestem jak to uczynisz! Wpław? Silny prąd uniesie cię pierwej nim zdołasz rozłożyć ręce, woda zaleje ci usta, zanim zdążysz krzyknąć o pomoc i miast znaleźć się na tamtej stronie — pójdziesz na dno.



Wędrowiec spojrzał ponuro w fale rzeki. Ten człowiek o spalonym przez słońce karku miał rację. Śmiał się na całe gardło, gdyż miał z czego się śmiać. Mostu przez rzekę nie ma, wędrowiec to widzi, ale widzi też na przeciwległym brzegu dalszy ciąg tej samej drogi po której dotąd szedł i znalazł się tu, zatrzymany nagle przez rzekę. Więc musi istnieć, a raczej powinno, jakieś połączenie tej drogi z tamtą, jakiś pomost, po którym moż-

na by spokojnie przejść. Ale czy istnieje? Widzi dobrze, że nie!

I znowu zwraca się do niego człowiek o opalonym na brąz karku.

— Rozmyśliłeś się, jak widzę, straciłeś ochotę do zimnej kąpieli i zapoznania się z mackami wodorostów na dnie?

Wędrowiec patrzał ponuro w rzekę i milczał.

— A może będziesz czekał aż zbudują most, lub woda opadnie, albo ją w zimie skuje lód? Rób jak ci się podoba: skacz w ciemną toń lub czekaj! Ja zawracam. Gdy szedłem tu słońce mnie piekło w kark i plecy, teraz opali mi twarz i piersi. Życzę ci postawienia stopy na tamtej stronie. Bywaj zdrów!

Znikł na zakręcie drogi i tylko ślady jego bosych stóp widniały czas jakiś na rozpalonym piasku.

Wędrowiec zajął jego miejsce na brzegu i tak jak on zwiesił nogi nad wodę i patrzył raz w fale, raz na bielącą się po przeciwległej stronie wstęgę polnej drogi, oddzielonej od pól zieloną wstążką rowów. Ach, żeby tak postawić stopę po tamtej stronie, ucałowałby z radości piasek!

Mostu przez rzekę nie ma, będzie zatem czekać aż go zbudują, lub woda opadnie, albo ją w zimie skuje lód. Będzie czekał gdyż mu nie wolno z drogi zawrócić.

Powoli zmęczony wzrok wędrowca mętnieje, głowa sennie opada na piersi i potem osuwa się na spaloną w słońcu trawę.

O, jakieś wozy jadą drogą i koła skrzypią terkocą! Ogromne kloce ciążą na nich. Zajeżdżają wozy na brzeg. Ludzie zdejmują z nich kloce i wbijają w rzekę, a więc budują most! Nareszcie będzie mógł przejść! Co to? Most wali się w rzekę i znika?... Woda opada, widać już złoty piasek na dnie i połyskujące łuski rybek. Podwija spodnie, wchodzi do wody, rybki uciekają...

Br... poczuł nagły chłód. Ciepła przedtem ziemia oziębła i wiał chłodny wiatr. Wędrowiec otworzył oczy, i przetarł je: a więc śnił! To wszystko było snem i wozy i pale i most i piasek i złote rybki.

Słońce połową czerwonej kuli zaryło się już w ziemię, drugą połową wysyła na świat ostatnie blaski. Woda w rzece stała się czerwona, jak krew. I na tle tej czerwieni chyboce się mała łódka — płynie. Zmusza ją do tego człowiek siłą rąk i zanurzeniem wioseł w wodę.

Łódka szybko się zbliża. Potężna postać wioślarza o karku opalonym na brąz i szerokich plecach, wychylających się z płótna koszuli, zaczepia wiosłem o brzeg.

Wskazuje najpierw na drogę po tamtej stronie rzeki, potem na łódź i wypowiada jedno słowo, które w uszach wędrowca brzmi jak najpieszczotliwszy szept:

— Przewiozę!

Zaszeleściły przybrzeżne szuwary, woda plusnęła i łódź, kołysząc się lekko, odbiła od brzegu. Wioślarz o opalonym na brąz karku raz po raz zanurzał wiosła w wodę, krył je przed światem, pochylał się w tył, sapał.

Prąd rzeki był silny w tym miejscu i fale chciały zawrócić łódkę z obranego przez nią kierunku i porwać ją z sobą. Wtedy wioślarz bił zawzięcie płetwami wioseł w grzywy fal, krajał je, rozdzielał, osłabiał ich moc i łódź płynęła według jego myśli.

Szybko znikał opuszczony brzeg, podczas gdy przeciwległy wyraźniał coraz bardziej i jednocześnie również nikł w mrokach nadchodzącego wielkimi krokami wieczoru.

Wstęga drogi, której początek trzymają mocno fale rzeki, a resztę unosi wiatr, skręca ją, wydyma to znowu opuszcza, stała się popielata, potem szara i wreszcie znikła zupełnie z oczu, jakby jej tam wcale nie było.

Cały brzeg, do którego zdążała łódka, dla oczu jadących już teraz nie istniał, istniała tylko czerń zbita, bezkształtna i groźna. Ona to ukołysała ptaszki do snu, spędziła z pól ludzi i bydło, skryła słońce i uciszyła wszystko — uśpiła.

Wędrowiec siedzi na przedzie łodzi, zwrócony twarzą do wiosłującego olbrzyma. W ciemności nie może dostrzec jego twarzy, chociaż jest tak blisko. Widzi tylko, a raczej wyczuwa w ciemności ruchy jego rąk i całej postaci w równych odstępach czasu i słyszy ciężki oddech.

Gdyby w tej chwili zabłysło słońce lub ktoś przyświecił latarką, ujrzałby kropelki potu, która jak ranna rosa, obsiadły twarz i kark wioślarza.

Niełatwa była przeprawa w ciemną noc i nielekkie wiosła nawet dla takich dłoni, jak te!

Wędrowiec wyczuł, że bieg łódki słabnie, że plusk zanurzanych w wodę wioseł odzywa się coraz rzadziej, i że nie wiadomo kiedy dopłyną do brzegu? Czy dopłyną w ogóle? Mogli znajdować się o kilka kroków od brzegu i lada chwila uderzą dziobem łódki o nadbrzeżny piasek, a mógł też nieść ich prąd w dół rzeki?

Są blisko celu albo w oddali, oto zagadka, którą podyktowała noc i świt dopiero da rozwiązanie. Ale do świtu jeszcze daleko, jeszcze nie ucichł wieczorny chór żab z nadbrzeżnych łąk, daleka północ.

Natomiast bliski był koniec sił wioślarza, Coraz częściej wiosła nie zanurzały się w wodę, coraz słabszy ruch ramion i całej postaci i łódka pozostawiona losowi.

Wędrowiec nie mógł dłużej usiedzieć bezczynnie. Tamten przestaje ze zmęczenia wiosłować i nie wiadomo, co każda minuta z sobą przyniesie, a on siedzi i patrzy jakby był widzem, który zapłacił dobre i wygodne miejsce,

Nie, on nie jest tylko widzem! Chce być tak samo czynnym aktorem przeprawy. Chce pokazać, że nie jest worem piachu, który obciąża tylko łódź.

Dotknął w ciemności zmęczonych rąk wioślarza, rozpostartych na wiosłach i rzucił w ciemność nieśmiało:

— Pomogę!

— Co pomogę?

— Wiosłować!

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko woda głośniej plusnęła pod płetwami wioseł i łódź pomknęła naprzód. Widocznie wioślarz dotąd odpoczywał i skoro spostrzegł, że ktoś zwątpił w jego siły, zaczął na nowo wiosłować.

I znowu wlokły się długie, ciemne minuty milczenia, mącone bulgotem fal i wlokły się myśli wędrowca dookoła tej dziwnej rzeki. Dlaczego nie zbudowali tu mostu, czemu nie budują, lub po co zburzyli istniejący?... A to że kiedyś istniał, było pewne?

Z rozmyślań zbudził go silny wstrząs.

To łódź uderzyła dziobem o piasek brzegu.

Koniec.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

ŚWIAT i ŻYCIE

500 dolarów za jednego całusa

Pewien kupiec w Chicago zakochał się w żonie swego kolegi. Pewnego dnia prosił swą uwielbianą o jeden pocałunek. „Za żadną cenę” — odparła nagabywana. Czy na prawdę za żadną cenę? — zagadną ją kupiec rzeczowo. Dama po chwili wahania odparła: — „a wie pan... wybrali mnie do komitetu dobroczynności, jeśli pan na ten cel ofiaruje 500 dolarów, otrzyma pan całusa. Oczywiście — dodała piękna pani — „rachunek” płatny jest przy dostawie towaru.

— Dobrze — zgodził się kupiec — idę po pieniądze Jakoż wrócił za kwadrans, wręczył damie swego serca 500 dolarów, wziął całusa i pożegnał się. Po godzinie wrócił mąż. Wyobraź sobie, odezwał się do żony, spotkałem naszego przyjaciela Thompsona prosił mnie, bym mu pożyczył 500 dolarów na kwadrans Po kwadransie przyszedł do mnie i oświadczył, że wręczył pieniądze tobie. Tak jest istotnie — odparła zmieszana niewiasta, z trudem kryjąc zakłopotanie i prędko udała się do kuchni przygotować wieczerzę. Odtąd postanowiła jednak unikać Thompsona.

Silna wola i systematyczne ćwiczenia zrobiły z chorego siłacza

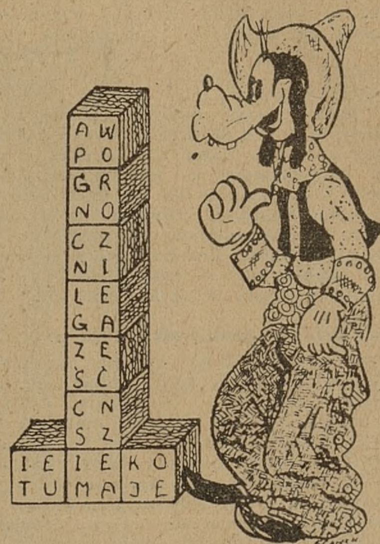
Sensacją Ameryki, o której pisała również nasza prasa jest Lawrence Heffernan, człowiek, który połowę swego życia spędził w szpitalach. Nie ma choroby, której by Heffernan nie przeszedł. Oszczędziły go jedynie schorzenia, które starożytni przypisywali niełasce bogini miłości. Jeszcze przed 9 laty Lawrence Heffernan był człowiekiem słabym, chorowitym, którego ścigały wszystkie nieszczęścia. Nękały go ostre bóle reumatyczne, przypominały się przy lada okazji przebyte w latach młodzieńczych zapalenia płuc, opłucnej, paraliżowały energię życiową i przedsiębiorczość wspomnienia trzykrotnie doznanych wstrząsów mózgu. A kiedy na dobitek wszystkiego Heffernan padł ofiarą katastrofy kolejowej, w której tylko cudem skończyło się na ciężkich, ale na szczęście dla życia niegroźnych obrażeniach, powiedział sobie: „dość tego — chcę żyć i być silnym.” Postanowienie swe wprowadził w czyn. Po wyjściu ze szpitala Heffernan rozpoczął racjonalny trening, który z chorego, słabego człowieka uczynił siłacza. Dziś Heffernan nie odczuwa żadnych dolegliwości. Jego żywotność wzrosła o 100 proc. Doszedł nawet do tego, że bez obawy o swoje życie i zdrowie może zawisnąć na stryczku. W ten sposób zaczął Lawrence Heffernan zarabiać ostatnio na życie. „Jest to najlżejsza praca, jaką mogłem znaleźć” — oświadczył reporterom pism amerykańskich. Dzięki silnej muskulaturze szyi Hefferman może „wisieć” kwadrans bez żadnej szkody dla siebie. Normalnie wisielec ginie w ciągu dwóch do trzech minut. Przy egzekucji stryczkowej nawet w czasie znacznie krótszym wskutek przerwania kręgów szyi.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

CHWILA ZASTANOWIENIA

PRZEKŁADANKA

ul. F. Gałecki



Z podanych na rysunku pól, należy ułożyć prostokąt i odczytać kolejno rozwiązanie.

SZARADA

pod. „Eros”.

Szardzisto, zadam Ci dziś pracę,
Z podanych cyfr pozbieraj sylab masę.
I tak, tę pierwszą szukaj w gramatyce,
Drugą zaś pod trzecią używa się w praktyce.
Natomiast pierwszy, trzeci, czwarty
To rzecz bardzo smutna, wcale nie żarty!
Poszukać teraz całości, to praca nietrudna,
Jest nią miejscowość podmiejska, nie jak Warszawa ludna.

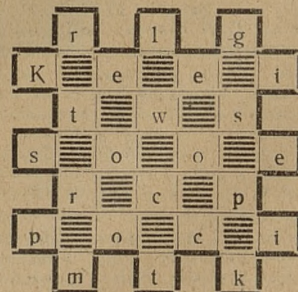
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 7 października br.

Rozwiązanie zadań z numeru 38 „Moich Powieści:” I. Konikówka:

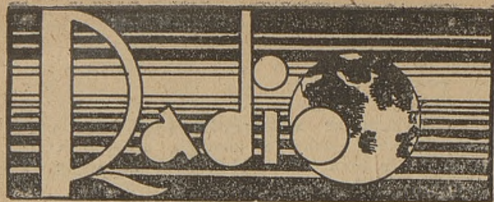
Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały,
Choć upływa sama szparko,
Cios jej dłuta wieczno trwały.

II. Wirówka:



Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kiełpiński Ludwik — Bydgoszcz, Malinowska Agata — Chełm, Jagoda Tadeusz — Pińsk, Kurek Herman — Brześć n. B.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Malinowskiej z Chełmu i Jagodzie z Pińska.



Niedziela, dnia 2 października 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Zaleszczyk (przez Lwów) 11.45 Program muzyczny w sezonie jesienno-zimowym — omówi Edmund Rudnicki, kierownik wydziału muzycznego P. R. 12.03 Koncert symfoniczny w wykonaniu Krakowskiej Orkiestry Symfonicznej 13.10 Muzyka obiadowa z Rozgłośni Poznańskiej 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 „Gdy miał trzydzieści lat" — słuchowisko z życia Sienkiewicza 16.30 Utwory fortepianowe w wyk. Al. Brachockiego (z Katowic) 17.00 Transmisja z kongresu Dziecka 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie — transmisja z hotelu Bristol 19.15 „Henryk Sienkiewicz" — szkic literacki 19.30 Słynni wirtuozi — Marian Andersen (kontralt) i E. Morini (skrzypce) 20.00 „Damy i huzary" — opera komiczna w 3 aktach.

Poniedziałek, dnia 3 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.20 Transmisja ze szkoły powszechnej w Warszawie 11.45 Muzyka z płyt 12.03 Audycja południowa 13.00 Pogadanka dla kupców i rzemieślników 13.30 „Moniuszko" — audycja muzyczna dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży — „Ania przybywa na Zielone Wzgórze" 15.30 Muzyka obiadowa (z Katowic) 16.15 Kronika naukowa „Biologia w opr. St. Sumińskiego 16.30 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego 17.10 Litwa współczesna — reportaż 17.25 Najpiękniejsze a zapomniane pieśni Wł. Żeleńskiego 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Muzyka lekka w wykonaniu Rozgłośni Lwowskiej 19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. orkiestry Rozgłośni Lwowskiej 21.00 Koncert Chóru Katedralnego z Poznania 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. orkiestry P. R. 23.05 Wiadomości z Polski w językach obcych.

Wtorek, dnia 4 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 Utwory Eryka Coatesa (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam Biat" — powieść J. Morawskiej dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa (z Poznania) 16.25 Koncert solistów 17.30 „Z pieśnią po kraju" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 19.40 Koncert rozrywkowy (z Berlina) 21.00 Koncert symfoniczny w wyk. orkiestry z Poznania 22.00 Istota czystej sztuki ludowej — odczyt 22.15 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela (XIII audycja).

Środa, dnia 5 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Fragmenty z oper Massenet'a (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla dzieci i młodzieży: „Nasz koncert" 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.15 Dom i szkoła: Ku wspólnym celom — gawęda 16.30 Koncert kameralny (z Krakowa) 17.15 W przybytku muz na wiedeńskim poddaszu — audycja słowno-muzyczna (z Poznania) 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Zakład czy rodzina?" 19.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Marii Wilkomirskiej 21.30 Wieczór literacki: „Rozmowa o dramacie i scenie" 22.00 Koncert orkiestry B. B. C. pod dyr. Adriana Boulta (płyty).

Czwartek, dnia 6 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Feliks Mendelssohn: koncert skrzypcowy e-moll (płyt) 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowę technika z młodzieżą przeprowadzi W. Frenkiel 15.15 Kłopoty i rady: „Pani Krystyna zmienia mieszkanie" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.15 Wśród chałupników — audycja dla młodzieży licealnej 16.35 Pieśni polskie w wykonaniu Janina Szczygłówny 17.00 Od ścieżki do autostrady — pogadanka 17.15 Koncert solistów 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 „O tytułach muzycznych" — gawęda 19.00 Koncert rozrywkowy (z Katowic) 21.00 Koncert kameralny (z Pomorza) z okazji Tyg. Muz. Polsk. 21.45 „Na nowe życie" — fragment z powieści 22.00 Muzyka z płyt 23.05 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R.

Piątek, dnia 7 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Sylwetki kompozytorów (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 „Zagadki muzyczne" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego 17.05 Recital organowy Bolesława Szabelskiego (z Katowic) 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Premiera słuchowiska „Nie budź mnie" 19.00 Koncert rozrywkowy z Torunia — kapela Malczewskiego 21.00 Chór P. R. pod dyr. Stanisława Nawrota 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 8 października 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Marsze i tańce stylizowane (płyty) 15.00 Wesołe piosenki i powiastki — audycja dla dzieci 15.30 Orkiestra Rozgłośni Wileńskiej 16.30 Miniatury kwartetowe 17.00 Nabożeństwo z Krakowa 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków zagranicą 19.15 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 „Zemsta nietoperza" — operetka w 3 aktach 23.15 Muzyka lekka i taneczna (płyty).



ARYTMETYKA

— Mąż mój wczoraj ukończył 50 lat, między nami jest dziesięć lat różnicy.

— Ach, nie przypuszczałem wcale, że pani ma już sześćdziesiąt lat.

PIOTRUŚ

Enfant terrible z tego Piotrusia. Ciągle zadaje niedorzecznie pytania. Wczoraj na przykład, zwraca się do ojca:

— Tatusiu, co to znaczy „jarosz?"

— Jest to człowiek, który nie je mięsa...

— A co on je?...

— Owoce, jarzyny.

— A co to znaczy „mięsożerna roślina?"...

Cisza. Nagle, jak piorun z nieba, spada nowe pytanie:

— Tatusiu, a czy jaroszowi wolno zjeść taką mięsożerną roślinę?...

BRAK ETYKI

— Czy wiesz, Franiu — mówi matka do swego sześcioletniego synka, dając mu tran, że twój kuzynek Józio pije lekarstwo z uśmiechem i jeszcze mówi: „Dziękuję!"

— Karjerowicz... — syczy malec wzgardliwie.

PODZIAŁ PRACY

— Cóż to, macie państwo aż dwie papugi?

— Tak, jedna należy do mnie, a druga do mojej żony.

— I obie gadają?

— Tak, papuga mojej żony woła: „Gdzie psię włóczyłeś, stary pijaku?", a moja „Psiakość, mięso znów przypalone!"

DZIWACTWA MODY

— Słuchajno, czy mój kapelusz jest dobrze włożony?

— Włożyłaś go całkiem skośnie.

— Tak? Wobec tego włożyłam go dobrze.

PUNKTUALNIE!...

— Gdzie się jutro spotykamy?

— Gdzie zwykle.

— A o której?

— Wszystko mi jedno.

— Wobec tego do widzenia. Ale proszę cię przyjdź punktualnie!

CZUŁOŚĆ

— Wyjeżdżam za tydzień, mój drogi. Czy mogę jeszcze coś zrobić dla ciebie?

— O nie, wystarcza że wyjeżdżasz.

CENNY WSPÓŁPRACOWNIK

Było to jeszcze w czasach przedwojennych. Na tarasie kawiarni w Paryżu spotkali się dwaj przyjaciele: Stefan Lauzanne i redaktor brukselskiej „Independance".

— Coś się zieniło w twojej gazecie — zrobił uwagę paryżanin. — Dawniej czytywałem tam ciekawie artykuły ekonomiczne i polityczne, podpisywane „Civilis". Od kilku tygodni podpis ten nie ukazuje się więcej. A szkoda.

— Tak, szkoda, — westchnął Meunier.

— Należało utrzymać owego współpracownika za wszelką senę.

— Starałem się, lecz bez powodzenia. Zmienił zajęcie.

— Czymże jest teraz?

— Albertem Pierwszym, królem Belgów.

W KANCELARII

— Gdzie ten służący? Nigdy tego trutnia nie ma, gdy go potrzeba.

— To już musi być familijne, jego ojciec bowiem był policjantem gminnym.

CO KOSZTOWNIEJSZE

— Czemu ty się nie żenisz? Masz przecież 300 zł pensji miesięcznie, więc mógłbyś żonę wyżywić.

— Wyżywić mógłbym, ale ubrać! ubrać!

WSPÓŁCZESA MIŁOŚĆ

On: — Powiedz mi, czy ty mnie naprawdę tak kochasz, jak ja ciebie?

Ona: — O, nawet daleko więcej, bo oprócz ciebie kocham także wszystko co twoje.

W BIURZE MATRYMONIALNYM

Klient: — Proszę mi pokazać podobiznę tej damy z posagiem półmilionowym.

Właściciel: — Przepraszam, ale od stu tysięcy wzwyż fotografii nie pokazujemy.

URZĘDOWA TAJEMNICA

Rada gminna odbywa tajne posiedzenie. W czasie narad zaczyna się awantura między sołtysem i jednym z radnych. Wreszcie radny daje sołtysowi w ucho.

— Gdyby to nie było tajne posiedzenie — woła sołtys, to bym zaskarżył pana do sądu.

ZAROZUMIAŁA

— Dlaczego twój narzeczony nosi zielone szkła w okularach?

— Żeby go nie olśniła moja piękność!



— Czy panowie byliby łaskawi zabrać również nasze księgi kasowe, gdyż w przyszłym tygodniu spodziewamy się rewizji...?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od dnia otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.